

Nr. 29
19 LIPCA 1936 ROKU
CENA 40 GROSZY

CZARNOGÓRZEC
ZNANY ARTYSTA FILMOWY
GUSTAW FRÖHLICH
Fot. Willinger — Wiedeń

Czy masz bujną fantazję?

Konkurs na najnieprawdopodobniejsze głupstwo.

Z niniejszym numerem zamykamy nasz Konkurs p. t. „Czy masz bujną fantazję“, a w jednym z najbliższych numerów podamy wyniki jego. Zgodnie z założeniem Konkursu Redakcja przyzna autorom najlepszych „bujd“ trzy nagrody, oraz tytuł „króla kawalarzy“, względnie „szambelanów Jego Kawalarskiej Mości“.

REDAKCJA „ASA“.

Za pięć minut z Królewskiej Huty do Nowego Jorku.

Mój przyjaciel, który całe życie strawił na pracy nad różnemi wynalazkami wpadł przed kilku dniami do mnie w niezwykle podnieconym stanie. Urywanemi zdaniami opowiedział mi, że udało mu się skonstruować aparat, który przeniesie go w pięć minut ze Śląska do Ameryki. Start do tego lotu naznaczony był na wczoraj. Rzeczywiście na polu w pobliżu Król-Huty wsiadł on do pewnego rodzaju balonu, który zaopatrzony był w hermetyczną gondolę i już po kilku sekundach znikł z oczu licznie zgromadzonej publiczności.

Jeszcze nie zdążyli się wszyscy rozejść, a ja ujechałem zaledwie paręset metrów samochodem, gdy w tem dał się słyszeć ogłuszający świst, jakby jakiejś potwornej syreny i na niebie ukazała się gondola balonu mego przyjaciela, zlatująca z wielką szybkością na ziemię. Zanim jednak opadła na pobliski pagórek, otworzył się nagle, jakgdyby parasol, który spowodował znaczne zmniejszenie szybkości opadania. Kto żyw, biegł na miejsce lądowania. Wkrótce i ja się tam dostałem, a oczom moim przedstawił się niezwykły widok. Oto na stopniach gondoli stał mój genjalny przyjaciel i z miną człowieka zdziwionego do najwyższych granic wypytywał ludzi, czy to możliwe, że znalazł się znowu w Król. Hucie. — Wszyscy wkoło wybuchnęli śmiechem. Jeden tylko człowiek, a był nim prof. Piccard zachował powagę i skrupulatnie badał aparaty kontrolne tajemniczego pojazdu. Wreszcie wykrzyknął zdumiony. — Ależ Panie! Udało się Panu pokonać prawo przyciągania ziemi! Miał Pan zamiar dolecieć do miejsca, w którem ciała wyzwalają się od swego przyciągania — zaczekać tam przez parę minut — znaleźć się w ten sposób w linji pionowej nad Ameryką, która przez ten bardzo krótki czas podsunęłaby się pod Pana gondolę i potem w ciągu kilku sekund wylądować np. pod Nowym Jorkiem! Tymczasem, jak wykazują aparaty kontrolne, pojazd Pana, znalazłszy się w przestrzeni międzyplanetarnej uległ sile przyciągania jakiegoś innego ciała niebieskiego, wskutek czego obleciał Pan przez tych kilka minut ziemię naokoło, a przybywszy nad miejsce startu rozpoczął Pan lądowanie wskutek utracenia pierwotnej szybkości. W ten sposób jest Pan jedynym człowiekiem, który wyprzedziwszy w obiegu słońce, postarał się w przeciągu kilku minut o jełą dziecinę!

Te ostatnie słowa wywarły tak piorunujące wrażenie na wynalazcy, że postanowił zaraz na drugi dzień wzlecieć po raz drugi w przestrzeń międzyplanetarną i nastawić pojazd swój tak, aby odbył szalony lot dookoła ziemi w przeciwnym kierunku, niż stało się to po raz pierwszy i by w ten sposób odzyskać spowrotem ten jeden cenny dzień życia, tak lekkomyślnie stracony. — Jak dotąd, przyjaciel mój nie powrócił jeszcze z tej podróży i obawiam się, jeśli kiedyś to nastąpi, to będę go musiał przyjąć na wychowanie jako... małą dziecinę.

Impas.

Niebezpieczny pożar.

Pewien przystojny młodzian, przechodząc ulicą, zobaczył na balkonie piękną dziewoję. Panna bardzo mu się spodobała, więc rzucił jej jedno ze swych nigdy nie zawodzących spojrzeń. Widząc, że dziewczyna spojrzenie zgrabnie pochwyciła, przystąpił bliżej, ukłonił się i zaczął rozmowę. Po krótkiej chwili nawiązali już między sobą nić sympatji. Po nitce tej dostał się młodzian na balkon. Nie długo trwało, a młodzi zapłonęli ku sobie gorącą miłością. Tak bardzo byli sobą zajęci, że nie zauważyli, jak od żaru ich uczuć, zapaliły się w oknach firanki. Kiedy się ocknęli, cały dom stał już w płomieniach. Bóg raczy wiedzieć, jak tragicznie skończyłaby się ta historja, gdyby nie to, że młodzian nasz znalazł swoją zimną krew, którą poprzednio ze strachu zgubił. Jednym susem znalazł się przy fortepianie, otworzył go, i zaczął grać popularny przebój „Krople deszczu“. Grał szybko, z mocą — to już nie były krople, ale ulewa, która ugasiła płomienie, w przeciągu paru minut. — Dom był uratowany — nasz młodzian, niestety, nie. Ożenił się bowiem z ową panną.

„hen“.

Przygoda dwóch braci.

I.

Leśniczy Franciszek będąc małym chłopcem wybrał się na kaczki. Na końcu długiego sznurka uwiązał kawałek sadła a sznur zarzucił na staw niczem wędkę, a trzymając drugi koniec sznurka schował się w w tataraku gęsto rosnącym na brzegu. Z nastaniem zmierzchu przyciągały kaczki, Spragnione spuściły się na wodę. Pierwsza zobaczyła coś białego na wodzie, a sądząc, że to dobry kąsek, chwyciła kawałek sadła połykając równocześnie sznur. Sadło podziałało jak aptekarski olej i znowu pływało po wodzie. Kaczka pozostała na sznurze. Ten sam kawałek połknęły wszystkie kaczki.

Piękne stadko krzyżówek jak korale nanizał na sznur mały Franuś. Polowanie się udało.

II.

Były wakacje. Józio wrócił z sadu bardzo nad czemś dumając. Kieszenie miał pełne czereśni. Postanowił zrealizować swój dawny plan. Choć raz z ojcowską dubeltówką udać się do lasu. Potajemnie zabrał wiszącą w przedsionku starą dubeltówkę i chyłkiem czmychnął do lasu. W głębi lasu zatrzymał się z ulgą. Zaczął jeść czereśnie z kieszeń a pestki starannie wpychał w lufę strzelby. „Gdyby tak strzelić z niej pestkami?“

Wtem zobaczył na skraju polany przy łubinie młodego rogacza. Serce zabiło żywiej i podeszło mu do gardła. Taka okazja nie codzień się nadarzy. Stanął za drzewem i wystrzelił. Pestki jak z procy wyleciały na rogacza. Ten poderwał się przerażony i wyciągnąwszy swe długie badyle znikł w gęstwinie lasu.

Spudłował. Z procy lepiej celował. Wracając do domu jeszcze bardziej unikał spotkania z kimkolwiek.

Po dwóch latach w czasie wielkiego polowania ubito rogacza na głowie którego oprócz niewielkich rogów rósł wspaniały krzew pełen dojrzałych czereśni. Myśliwi gubili się w domysłach i dociekaniach przyrodniczych. Józio milczał. Wiedział, że za ruszanie broni ojciec garbował skórę.

Halina Łosińska.

Praktyczny Don Juan.

Pewien mój przyjaciel, 100-procentowy uwodziciel, miał serce tak podziurawione strzałami amora, że używał je zamiast sitka do zaparzania herbaty.

„hen“.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 29 **Niedziela 19 lipca 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 29-GO:

FOT. INŻ. T. RAUZA.

W przejeździe z Krynicy do Wisły P. Prezydent R. P. Ignacy Mościcki udał się na Kasprowy Wierch celem zwiedzenia niedawno temu zbudowanej kolejki linowej. Na zdjęciu widzimy P. Prezydenta R. P. w towarzystwie mininistra Bobkowskiego (w jasnem ubraniu) nad granicą czechosłowacką.

WITRAŻE
ŚWIATŁO SZTUKĄ UJARZMIONE

W czasie wojny światowej miałem sposobność widzieć arcydzieło gotyckiej architektury St. Chapelle w Paryżu, oraz katedrę w Reims, odarte z witraży, powyjmowanych z ram okiennych i przewiezionych w bezpieczne miejsca, gdzie nie groziy im bomby niemieckich lotników.

Wnętrze kaplicy St. Chapelle, owej szkatułki, niby, najprzedniejszej jubilerskiej roboty, czyniło w jasnem świetle, spływającem przez białe szyby, przykre uczucie pustki. Również wnętrze katedry w Reims, sprawiało tragiczne wrażenie okaleczałej budowli, z której uleciało wszystko wewnętrzne życie. Wtedy zrozumiałem, czem jest dla architektury gotyckiej malarstwo witrażowe, czem są szyby kolorowe, przerabiające światło rzeczywistości na światło mistyki!

Witraże są koniecznem uzupełnieniem średniowiecznej architektury, gdyż akcentują najmocniej modlitewny nastrój świątyni. O działaniu malarstwa witrażowego przekonać się możemy w Krakowie, zwiedzając kaplicę, bądź to Świętokrzyską na Wawelu, zdobioną przez genjalnego polskiego witrażystę prof. Mehoffera, lub kościół Franciszkański, rozjaśniony witrażami Wyspiańskiego, które obok średnowiecznych Marjackiej świątyni, są znakomitemi przykładami świetności tej gałęzi sztuki.



Na lewo: *Prof. Wojciech Jastrzębowski: „Drzewo życia".*



St. Wyspiański: „Chrystus", witraż przezn. dla kościoła w Bieczu, obecnie w Katowicach. Kaplica Kurji Bisk.



J. Piasecki: „Chrystus w Ogrójcu" (kościół ewangelicki w Żorach).

Jak powstają witraże?

Artysta stosując się do architektonicznych wymiarów oprawy okiennej, podzielonej laskowaniami i rozetami, komponuje karton naturalnej wielkości. Według niego przysposobione zakłady witrażowe wykonywują w szkle kompozycje. Wycinki szkła łączone są ołowiem akcentując mocno kontury kompozycji.

W średnich wiekach znano tylko kilka gatunków szkła kolorowego w pięciu zasadniczych barwach, mianowicie czerwieni, błękitnej, zieleni i pomarańczowo-złotej. W pierwszym etapie rozwoju tej sztuki używano z zamiłowaniem białych szyb, t. zw. pełnych. Od XIV w. poczęto używać szkieł powłokowych, złożonych z jednej strony z koloru białego, zaś z drugiej z czerwonego, lub innych. Przez trawienie uzyskuje się żądaną tonację szkła wypalanego z rozmaitych szlachetnych metali, a zwłaszcza złota. Szkła zabarwiano dawniej i dziś metalicznemi tlenkami. Głębokość tonu zawisłą jest od grubości szkła i od rodzaju jego wytrawienia. Do nałożenia rysunku używano czarnej farby, łączonej gumą, lub słodzoną wodą. Po nakładzeniu rysunku na szkło, wkładano je dawniej na płytę żelazną, posypaną sproszkowanem wapnem i wypalano, pokąd farba nie wtopiła się w szkło.

Dziś technika witrażowa rozporządza około 300 odcieniami szkła pełnego i powłokowego, stąd też współczesny artysta posiada nadzwyczaj bogate możliwości dla kolorystycznej kompozycji. Średniowieczne witraże, tak trudne do naśladownictwa, zawdzięczają swą świetność kolorystyczną patynie wieków, która powstaje wskutek długotrwałego działania atmosferycznego i tworzy często niespodziewane efekty. Na tafelkach szklannych wytwarza się w ciągu wieków nalot z pyłu krzemiennego, zależnie od geologicznego podkładu danej okolicy. Warstewki te o nierównej powierzchni przyczyniają się do niewymownie pięknej gry światła, przesączającego się przez nie, niby przez pryzmat. Dziś zakłady witrażowe posługuje się dwoma gatunkami szkła t. zw. antycznego, — sporządzonego według dawnych recept, oraz katedralnego, opalizującego. Dawni artyści w celu otrzymania odpowiednich wycinków szkła, musieli je łupać prymitywnie obcęgami, lub siekierką czy młotem. Dopiero w późnem średniowieczu poczęto używać djamentu do krajania szkła. W technice malowania, wypalania i trawienia szkła, niema dziś poważnych różnic, jak i w używaniu farb przejrzystych, czy też t. zw. emaljowych. W wiekach średnich używano techniki zwanej „luce floreo", polegającej na kładzeniu różnokolorowych tafli, z nałożonym rysunkiem. W ten sposób rozszerzano pole barwne, ograniczane obramieniem architektury, wąskiem w epoce romańskiej, to znowu rozszerzonem do potężnych wymiarów, w epoce gotyku, w rozetach okien, kilkumetrowej nieraz wysokości.

Malarstwo na szkle wzięło swój początek z rzymskiej mozaiki okiennej, znanej w I w. po Chr. Klasztory Benedyktynów i Cystersów, będące jedynemi środowiska-





Powyżej: Witraż w kościele Marjackim, przedstawiający św. Katarzynę, wypędzającą djabła, (przed odnowieniem). — Powyżej na prawo: Ten sam (po odnowieniu) z widocznym djabłem, zagubionym w barbarzyńskiej restauracji z XIX-go wieku.

mi sztuki i cywilizacji w średniowieczu, były również kolebką sztuki witrażowej. Theofilus w swej „Schedula diversarum artium" w r. 1100, opowiada, iż mnisi byli nietylko projektodawcami, ale i wykonawcami witrażów, i twierdzi, iż mistrz Werinher z Tegernsee w Bawarji, wykonał pięć witrażów w XI w. dla miejscowego klasztoru. W tym okresie kwitło w klasztorach malarstwo iluminacyjne. Tysiące anonimowych artystów przepisywało rękopisy, upiększając je swą przebogatą fantazją, rafinowaną sztuką, i kaligraficznemi ćwiczeniami wprawiając się w rozwój liternictwa, ornamentu i malarskiej kompozycji. Malarstwo witrażowe znalazło pomoc w tej siostrzanej sztuce. Stąd też już pierwsze romańskie kompozycje cechuje piękno i niemal klasyczna prostota ornamentu. Tak dojrzałą sztukę, operującą świtnie motywami geometrycznemi mogli stworzyć jedynie iluminatorzy, rutynowani artyści i uczeni, którzy znali również piękno wschodnich kobierców.

W istocie rzeczy, pierwsze witraże romańskie spełniały rolę barwnych kobierców, rozwieszonych w oknach. Romańszczyzna tworzyła barwne mozaiki, lecz już w swym zarodku, fantazja kolorystyczna malarzy spotkała się z oporem ascetycznych władz klasztornych. W r. 1134 opat Cystersów wydaje zakaz używania kolorów w zdobieniu okien kościelnych i stąd też powstają romańskie jednobarwne witraże, tak zwane „en grisaille". Wówczas zmniejszono również liczbę pól kompozycyjnych, aby wzmocnić oprawę okien, zapomocą użycia prętów żelaznych („windeleisen" i „sturmstangen"), wzmacniających odporność szyb. W gotyckiej epoce styl architektury wpłynął na kształtowanie sztuki, która przyswoiła sobie motywy architektoniczne i wprowadziła figury świętych i fundatorów, okolonych ornamentami architektonicznymi.

W XV w., obok malarstwa kościelnego, powstaje malarstwo świeckie i cechy. Malarze świeccy nie mieli dotychczas dostępu do bogactw, ukrywanych w klasztorach, w postaci iluminowanych rękopisów. Świeccy malarze dopiero po zapoznaniu się z sztuką swej epoki mogli podołać nowym, ciążącym na nich zadaniom. W XIV w. powstają cechy szklarzy, zwanych „Vitrier", „fenestrator", „glaserator", „vitrifex", „pictor vitrorum".

W tym okresie sztuki artysta i rzemieślnik łączyli się w jedność. Nie znano wówczas granicy między rzemiosłem a t. zw. sztuką czystą. Wśród witrażystów owego czasu spotykamy Holbeina starszego i innych. W r. 1484 znajdujemy charakterystyczną zapiskę w aktach fryburskich cechów, iż członkowie cechu



Prof. Józef Mehoffer: Witraż z kaplicy Świętokrzyskiej na Wawelu, nagrodzony na wystawie Sztuki Dekoracyjnej w Paryżu w r. 1925.



Na lewo: Architekt Fr. Mączyński: Widok starodawnego kościółka w Komorowicach.



Wnętrze Krak. Zakł. Witrażów S. G. Żeleńskiego; z lewej kierowniczka Iza Żeleńska, z prawej stojący, Żeleński (syn).

szklarzy, skarżą się na klasztory, że one odbierają chleb rzemieślnikowi, a powinny wykonywać pracę tylko dla siebie, a nie na zamówienia innych.

O krakowskich witrażystach znajdujemy notatkę z początku XVI w., zaczytowaną przez prof. F. Geigesa w dziele „Der Alte Fensterschmuck des Freiburger Münsters". Lieferung 2. str. 89". „Wer do meister will werden Moler Snitzer und Glaser dy sullen meisterstück machen nemlich ein marien bild mit einem kyndel das andere ein crucifixio das dritte Sant Jorgen auf dem rosse..."

(Kto chce być mistrzem malarzem, snycerzem i szklarzem, ten musi wykonać majstersztyk, którym będzie jeden obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem (malowany), drugi krucyfiks (rzeźbiony), trzeci św. Jerzy na koniu (mal. na szkle). Już choćby na podstawie tego dokumentu dowiadujemy się o wszechstronności wymaganej od artystów cechowych. Do witraży używano szkieł, fabrykowanych przez samych artystów, lub sprowadzanych z Czech i Wenecji.

Do najstarszych zabytków sztuki witrażowej należą okna katedry augsburskiej, pochodzące z XI w., oraz kościoła św. Kuniberta w Kolonji, wykonane w charakterze „en grisaille", witraże kościoła Sainte Denis i St. Chapelle w Paryżu, katedry w Chartres, Le Mans, Bourges, Orvietto, w Assyżu, w kościele św. Lorenca w Norymbergji, św. Guduli w Brukseli i innych.

W Krakowie posiadamy niezmiernie cenne witraże w Marjackiej świątyni, z których reprodukujemy jedno pole kompozycyjne, aby wykazać barbarzyństwo dawnych restauracyj z XIX w. Witraż przedstawia św. Katarzynę, wypędzającą djabła. Na zniszczonym witrażu, postaci djabła nie możemy odnaleźć wcale, gdyż wycinki kompozycji użyto do wypełnienia zniszczonego ornamentu i dopiero dzięki umiejętnej restauracji, dokonanej przez zakład S. G. Żeleńskiego w Krakowie, udało się odnaleźć wszystkie szczegóły kompozycji, widoczne w odnowionym witrażu, reprodukowanym obok. W kościele Marjackim, zakład Żeleńskiego odnowił około 120 pól witraży średniowiecznych w r. 1932, pod kierunkiem komisji, złożonej z profesora Mehoffera, oraz konserwatora Römera. Prace restauracyjne wymagały nadzwyczajnej wprawy i solidności wykonania. Zasłużony dla polskiej sztuki zakład, posiada chlubną historję i przyczynił się znakomicie do rozwoju naszego witrażnictwa. Zakład krak. założył arch. Władysław Ekielski w r. 1902. W kilka lat później Stanisław Gabrjel Żeleński, syn kompozytora Władysława, wstępuje do spółki i za jego działalności wykonano liczne kapitalne dzieła prof. Mehoffera i Stanisława Wyspiańskiego dla krakowskich kościołów. Dowodem rozwoju naszego witrażnictwa były liczne zamówienia polskich witraży do Stanów Zjednoczonych, Argentyny, a nawet Czech. Po tragicznej śmierci kierownika, w bitwie pod Kraśnikiem w r. 1914, prace prowadziła wdowa, p. Iza Żeleńska, a od roku 1928 jej syn, p. Adam. Przytaczamy listę artystów polskich, którzy wykonali swe prace w krakowskim zakładzie witrażowym: Prof. Batowski Stanisław, prof. Bukowski Jan, prof. Bunsch Adam, prof. Chłodny (Lwów), Adam Ciompa, Władysław Dropiewski (Pelplin), Antoni Dzierzbicki (Warszawa), prof. Karol Frycz, arch. Zygmunt Gawlik, prof. Zdzisław Gedliczka, Wojciech Durek (Toruń), Tadeusz Gronowski (Warszawa), prof. Jastrzębowski, artysta-malarz Jan Januszewski, art.-malarz Henryk Nostitz-Jackowski, arch. Franciszek Mączyński, prof. Juljusz Makarewicz, prof. Karol Maszkowski, Magdalena Maciągowa, prof. Józef Mehoffer, Marja Niedzielska, Marja Neugebauer, Jan Pochwalski, prof. Jan Procajłowicz, Aleksander Rak (Warszawa), prof. Jan Henryk Rosen, prof. Kazimierz Sichulski, Adam Siemionowicz, Wanda Skrochowska, Jan Śliwiński, prof. Włodzimierz Tetmajer, prof. Henryk Uziembło, Jan Wałach, prof. Franciszek Walczowski (Łódź), Jerzy Winiarz, Stanisław Wyspiański, Alfred Żmuda, Mikołaj Żuk.



Prof. Jan Henryk Rosen: „Sw. Mikołaj", Patron żeglugi, św. Nepomucyn, Patron dróg i mostów w kościele ufundowanym przez organizacje sportowe w Podkowie Leśnej pod Warszawą



Obok: Adam Bunsch: Scena pod Krzyżem, (kościół N. P. Marji w Katowicach).

Reprodukujemy jako ilustrację do powyższego artykułu dzieła czołowych przedstawicieli naszego witrażnictwa prof. Józefa Mehoffera, który mistrzowską kompozycją witraży dla fryburskiej katedry, zdobył światową sławę, mało znany witraż Stanisława Wyspiańskiego, przeznaczony dla kościółka w Bieczu, a znajdujący się dziś w kaplicy Najśw. Marji Panny w kurji biskupiej w Katowicach. Przedstawicielami nowych kierunków w polskiem witrażnictwie są dzieła prof. Rosena, wykonane „en grisaille" dla nowoczesnego kościoła w Podkowie Leśnej i Adama Bunscha dla Marjackiego kościoła w Katowicach, Piaseckiego dla ewangelickiego kościoła w Żorach.

Jak się okazuje witrażnictwo nie jest umarłą sztuką. Nowoczesna architektura kościelna i świecka wprowadza do jasnych wnętrz spowrotem witraże, ożywiające mistyczną barwą przestrzenną architekturę i akcentujące monumentalne szczegóły w sposób tak świetny, jak np. struga barwna rzucona przez witraż na sarkofag Napoleona w jego krypcie zbudowany w kompleksie Gmachu Inwalidów w Paryżu.

M. Dienstl-Dąbrowa.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

ZNACZKI »KRÓLA« SEDANGU

W związku z otwartą obecnie Międzynarodową Wystawą Znaczków Pocztowych w Nowym Jorku, dla której to wystawy zbudowano specjalny gmach 3-piętrowy, zainteresuje przypuszczalnie szerokie sfery filatelistów polskich, wielka „panama" znaczkowa, jaka się wydarzyła 40 lat temu w Paryżu.

Wśród całej wielotysięcznej rzeszy polskich zbieraczy marek pocztowych zapewne tylko nieliczne jednostki a może nawet i nikt nie wie o zabawnym incydencie, który miał miejsce w „stolicy świata" Paryżu w ostatnich latach ubiegłego stulecia.

Otóż w pierwszych dniach sierpnia 1897 roku zawitał do największego Palace-Hotelu Angielskiego przy ul. Rivoli w Paryżu egzotyczny gość z liczną świtą.

Panował wtedy, jak wiemy, szczęśliwy okres, gdy paszport był nieznanym rekwizytem, potrzebnym tylko przy wyjeździe do Rosji, więc nikt się też nie pytał przybyszów o jakiekolwiek papiery. W książce hotelowej egzotycznie wyglądający turysta wpisał się jako „Król Marja de Sedang".

Portjer hotelowy, który był w życiu prywatnem gorącym propagatorem monarchistycznych haseł i szczycił się tem, że zna na pamięć prawie wszystkie nazwy królestw i udzielnych księstw, musiał przyznać, że pierwszy raz spotkał się z nazwą Królestwa Sedangu. Gdy poszukiwania w encyklopedji nie dały również żadnego rezultatu, przeczuł, że cała sprawa jest jakoś niejasna. Ze swoimi wątpliwościami zwierzył się młodemu reporterowi z „Journala". Ten wziął się energicznie do dzieła. Przewertował wszystkie encyklopedje i wydawnictwa gograficzne, jakie tylko mógł w bibljotekach paryskich znaleźć, ale o tajemniczem królestwie Sedangu nie znalazł ani słowa. Po tem pierwszem niepowodzeniu wziął się do gruntownego studjowania map okrętowych. Żadna najmniejsza nawet wysepka nie uszła jego uwagi... i bez skutku. Chwycił się więc ostatecznego środka. Napisał do Królewskiego Tow. Geograficznego w Londynie z zapytaniem, czy nie znają przypadkiem miejscowości względnie wyspy o nazwie Sedang. Dostał odpowiedź, że w skorowidzach Towarzystwa nazwa taka wogóle nie figuruje.

Po zebraniu tych wszystkich informacyj pierwszą myślą młodego reportera-detektywa było, że „Król Sedangu" jest pospolitym oszustem, zaczął więc przeprowadzać dyskretny wywiad, i cóż się okazało. Król Sedangu nietylko, że płacił za zajmowany w hotelu apartament, ale czynił dzień w dzień olbrzymie zakupy w największych magazynach paryskich, płacąc za wszystko gotówką.



Znaczek efemerycznego królestwa Sedangu.

Więc posądzenie o oszustwo wydawało się nieistotne... a jednak czuły „węch" dziennikarski mówił młodemu człowiekowi, że coś z „królem" nie jest w porządku.

Już blisko 3 tygodnie mieszkał król Marja de Sedang w Paryżu. Zakupy, które poczynił wraz z rachunkiem hotelowym uczyniły pokaźną sumę 180 tysięcy franków. Wszystko, jak wyżej wspomniałem, płacone było gotówką.

Aż któregoś dnia, jak niespodziewanie zjawił się na bruku paryskim egzotyczny władca, tak i nagle wyjechał i dopiero wtedy prawda wyszła na jaw.

Okazało się, że „król" Marja de Sedang w czasie swego pobytu w nadsekwańskiej stolicy odstąpił jednemu z największych domów filatelistycznych monopol na sprzedaż w Europie znaczków „Królestwa Sedangu". Za transakcję tę otrzymał król Marja pół miljona franków gotówką. Przy zawieraniu umowy wręczył król przedstawicielowi domu filatelistycznego arkusz blado-pomarańczowych znaczków 1-dolarowych „Królestwa Sedangu". Dalsze egzemplarze miały być dostarczone w najbliższym czasie.

Na drugi dzień po otrzymaniu gotówki król Marja de Sedang wyjechał nagle z Paryża wraz ze swoją świtą... a w pokojach hotelowych, które opuścił, znaleziono prymitywną maszynkę do fabrykowania znaczków pocztowych, pomarańczową farbę i złamaną kliszę 1-no dolarowego znaczka.

I wtedy dopiero poszkodowany handlarz przekonał się, że padł ofiarą nieznanego w ówczesnych czasach „kantu". Pozostało mu jednak na pocieszenie 100 znaczków, z których jeden reprodukujemy obok.

Ponieważ znaczki te były bądź co bądź pewnego rodzaju osobliwością, więc znaleźli się filateliści, którzy kupowali je chętnie tak, że kupiec na transakcji tej nic nie stracił, a kto wie, może nawet jeszcze i zarobił.

Oto w krótkości sławna przed 40 laty „panama" znaczkowa.

Mieczysław Dunin Borkowski.

PRZYPOMINAMY

NASZYM CZYTELNIKOM,

że KONKURS na NAJLEPSZĄ NOWELĘ obejmuje trzy nadrody: I — zł. 200·—, II — zł. 150·—, III — zł. 100·—

Poza temi trzema nagrodami Jury Konkursu wyróżni nowele, które, aczkolwiek nie otrzymały nagrody, posiadać będą bezsprzeczne wartości literackie. Nadsyłane na Konkurs prace winne być pisane na maszynie i zaopatrzone w odpowiednie godło, które należy uwidocznić na zamkniętej kopercie, zawierającej imię i nazwisko autora wraz z dokładnym adresem. Objętościowo nowela nie może przekraczać 250 wierszy pisma maszynowego, ani też mniej. jak 100 wierszy takiegoż pisma. Tematy nowel mogą być dowolne, pożądane jest natomiast, by ich tło stanowiła Polska we wszelkich swych przejawach życiowych. **Redakcja.**



kabatu. Spódnica „marynusowa" koloru białego lub czerwonego w róże. Fartuszek biały, haftowany. Pończochy białe i czarne buciki sznurowane.

Męski strój, jakkolwiek skromniejszy, nie jest pozbawiony swoistego uroku. Składa się ze spodni białych, chowających się w długich butach, „jaki" *), przybranej dwoma rzędami żółtych guzików z orzełkami, białej koszuli, jedwabnej chusty, kaftana bez rękawów, t. zw. katany i kapelusza, uformowanego na okrągło. Jest to jednakże strój dla młodego. Starzy nosili spodnie ciemne.
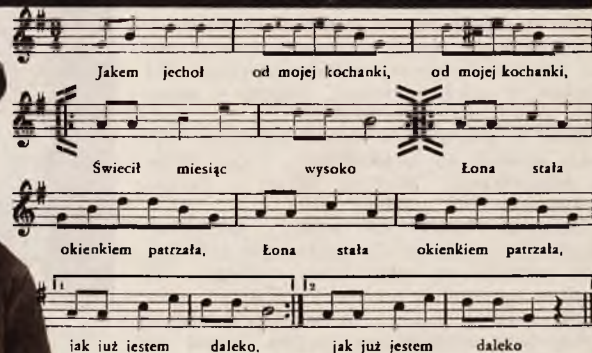
Słowami: „chodź! potańcujemy", młodzieniec zaprasza dziewczynę do tańca. Barwne wstążki fruwają lekko, a rzędy pięknych korali połyskują tak, że patrzeć na siebie nie pozwolą. Wesele lub zabawa nie była do pomyślenia, gdyby na niej nie odtańczono „Przodka" najpopularniejszego kiedyś tańca w Szamotułach.

„Przodek szamotulski"



Na lewo: Strój Szamotulanek odznacza się swoistem bogactwem . . .

Na prawo: Typ włościanina z Szamotuł.



Muzyka do „przodka szamotulskiego", spisana przez W. Kanię.

W ostatnich latach Szamotuły zaczynają na równi z innemi miejscowościami coraz bardziej doceniać regjonalizm. Dawne stroje, pozarzucane w komorach, poczęto wyjmować i oporządzać. I tam na wsi znalazło się wielu, rzec można „barbarzyńców", którzy piękne ubiory poprzerabiali na bezwartościowe „modne" ubrania. Często, pytając o strój, spotyka się z odpowiedzią: „ło moje chłopoki już downo sobie poprzerobiali". Ale naogół można powiedzieć, że prawdziwi Szamotulanie z rozrzewnieniem wspominają dawne zwyczaje, a stroje swoje, zwłaszcza w ostatnich czasach, otaczają coraz staranniejszą pieczą.

Niepodobna mówić o tańcu okolic Szamotuł, nie wspominając pięknego weselnego stroju. Przyjrzyjmy się najpierw kobietom. Głowę zdobi wieniec, złożony z barwnych wstążek, ozdobiony nićmi szychowemi, wiązanemi na gałązkach rozmarynu. Z tyłu jego powiewają dwie kwieciste wstążki. Na szyi gorsik, na którym w wielkiej liczbie zwieszają się korale. Biust pokrywa obcisły kabat sukienny; u dołu jego liczne fałdy, zwane organkami. Przód zdobią guziki koloru niebieskiego. Na kabatku jedwabna chusta koloru różowego lub niebieskiego z wzorzystemi szlakami po bokach, złożona w róg tak, że dwa jej końce wychodzą na fartuszek zpod

A oto tekst do muzyki, zamieszczonej obok, spisany przez W. Kanię:

Jakem jechoł od mojej kochanki
Świecił miesiąc wysoko
Łona stała, okienkiem patrzała

Jak już jestem daleko.
Ujechołem śtery mile boru,
Łona za mną wołała:
Wróć się, wróć się, pocieszynie moje
Czem żem cię rozgniewała?

A jo już się do ciebie nie wrócę,
A bo już niy mom po co;
Byłym wczoraj pod Twojym okienkiem
Toś ty miała innygo.

Był tam Janek co ci ukrodł wianek
A tyś mu serce dała
Smutne serce, czarne oczy płaczą
Że cię dostać nie mogom.

Smutne serce, czarne oczy płaczą,
Że cię dostać nie mogom.
A teraz cię, pocieszynie moje,
Polecam Panu Bogu.

*) „Jaka" — czerwona bluza z długiemi rękawami.

(Dokończenie na str. 18-ej).

Poniżej: Cztery figury „przodka", ludowego tańca szamotulskiego. Fot. Bohdan Kawaler, Szamotuły.



O★S★T★A★T★N★I

WANDA SKURCZYŃSKA

NOWELA

— Pozwolisz, że przedstawię ci mego serdecznego przyjaciela Juljusza Sewera — rzekł kapitan.

Spojrzałem na młodego oficera, który podszedł właśnie do naszego stolika i przywitałem go uśmiechem. Skłonił się z wyszukaną gracją. Uścisnęliśmy sobie ręce.

— Ależ pan podobny do portretu Ludwika XVI. — zauważyłem, spoglądając z pewnem zdumieniem na jego charakterystyczny nos, grube, zmysłowe wargi i okrągły podbródek. — Możnaby przyjąć, że krew Burbonów płynie w pańskich żyłach.

Uwaga moja była może zbyt obcesowa, nie przypuszczałem jednak, że wywrze tak wielkie wrażenie. Na twarzy stojącego przed nami oficera odmalował się głęboki smutek. Pożegnał nas z pośpiechem, zanim mogłem naprawić mimowolną niezręczność. Kapitan podkręcił wąsa, widząc moje zakłopotanie.

— Nie dziw się, mój drogi — rzekł z wymownym gestem. — Popełniłeś niechcący wielki nietakt. Porucznik Sewer ma słuszne powody, dla których wspomnienie Ludwika XVI. stanowi dla niego głęboki uraz.

— Nie rozumiem — próbowałem się usprawiedliwić.

— Zrozumiesz jednak — przerwał mój towarzysz — kiedy ci powiem, że Juljusz Sewer jest w prostej linji potomkiem ostatniego króla francuskiego i ze posiada wszelkie prawa do tytułu jego następcy...

— Ale... — wyjąkałem.

— I nie sądź — mówi dalej kapitan, nie zwracając uwagi na moje zdziwienie — że uroszczenia porucznika Sewera oparte są na legendarnych przesłankach.

— Jesteś dziwnie zagadkowy — rzekłem.

— Miłość, mój drogi — objaśnił z uśmiechem. — Miłość. To uczucie, które przekreśla wszelkie rachunki i paczy najlepiej obmyślane plany, zadecydowało i o przyszłości nieszczęśliwego Księcia Normandji.

— Księcia Normandji? — zapytałem zaciekawiony. — Masz na myśli więzionego w Temple syna Ludwika XVI i Marji Antoniny?

— Właśnie — rzekł kapitan.

— Ależ Książę Normandji a właściwie następca tronu zmarł w dwa lata po śmierci rodziców — rzekłem tonem stanowczym. — To są fakty historyczne.

— To nie są fakty historyczne — obruszył się mój towarzysz. Widzę, że nigdy nie interesowała cię ta sprawa i że, jak ogół, wierzysz pozorom. Dla mnie dzieje protoplasty porucznika Sewera i to ,co mi o nim opowiadał, stanowią całość oderwaną i w świetle jego zwierzeń oraz zebranych później wiadomości, śmierć Delfina w Temple wydaje mi się zwyczajną bajką.

— A jednak — wtrąciłem — zeznania świadków, protokoł oględzin zwłok, akt zejścia — przecież to wszystko nie było wyssane z palca!

Przyjaciel mój uśmiechnął się pobłażliwie.

— Mogę służyć ci wszelkiemi objaśnieniami — rzekł. — Zadałem sobie trud zorjentowania się w tej gmatwaninie faktów, które nazywasz historycznemi. I dziś, jak wspomniałem, uważam się... hm... za jednego z nielicznych znawców nieoficjalnych dziejów dynastji Burbonów. Dowody przemawiające za śmiercią Ludwika XVI w Temple nie są żadnemi dowodami!

— Tak jest — mówił dalej, zapalając się. — Oględzin zwłok dokonali ludzie, którzy Delfina wogóle nie znali i którzy przyjęli w dobrej wierze za udowodnione, że przedstawione im zwłoki są zwłokami „Ludwika Capeta". To samo można powiedzieć i o właściwym akcie zejścia, który nie posiada żadnej rzeczowej wartości. Fakty historyczne! Okoliczności, towarzyszące śmierci domniemanego Delfina w Temple, dają wogóle dużo do myślenia. Nie wiesz zapewne, że lekarz, którego wezwano do łoża chorego księcia, zmarł nagle, prawdopodobnie otruty... Że w kilka dni później zeszedł z tego świata w sposób równie tajemniczy jego najserdeczniejszy przyjaciel i że od tego czasu opiekowali się chłopcem ludzie, którzy go nigdy przedtem nie widzieli. Tak... kiedy w krótki czas potem zmarł w Temple ten zmożony chorobą chłopiec ,ogłoszono światu śmierć Delfina. Ale to nie był Delfin...

— Jakto? — zapytałem. — Przypuszczasz?

— Jestem tego pewny — rzekł mój towarzysz. — Dzieci zamieniono już na kilka miesięcy przedtem. Pomyłkę tę stwierdził wezwany lekarz, który Ludwika znał osobiście... Zwał się, o ile pomnę, Desault. Był na tyle nieostrożnym, że o fakcie tym wspomniał nietylko władzom więziennym, ale i swemu serdecznemu przyjacielowi. Umarli obaj w odstępie kilku dni. Trzeba było zachować tajemnicę... Wieść o zniknięciu Delfina byłaby dla rządu rewolucyjnego katastrofą...

Umilkł i zadumał się. Przez salę przeszło kilka osób, rozmawiając żywo. Z oddali dolatywały dźwięki muzyki.

— Jednem słowem — rzekłem po chwili — twierdzisz, że młodego Ludwika uprowadzono z więzienia na szereg miesięcy przed śmiercią chłopca, który zajął jego miejsce. To bardzo romantyczne, ale niezbyt prawdopodobne.

Wzruszył ramionami.

— Wiem o tem — rzekł — I wierz mi, że Sewer ma słuszność, nie wspominając o tych faktach.

Zapalił papierosa i oparł rękę na stole. — Tak to historja ultra-romantyczna — rzekł po chwili — ale nie mam powodu uważać go za kłamcę. Zresztą historję tę zna tylko kilku jego przyjaciół. Widziałeś, jaką przykrość sprawiło mu kilka wypowiedzianych przez ciebie słów. Ale nie jest to tajemnica. Nie zobowiązywał mnie nigdy do milczenia i mogę ci to z czystem sumieniem opowiedzieć.

— Szczegóły, na które się powołuję, stanowią w rodzinie Sewera coś w rodzaju tradycji, przekazywanej z pokolenia na pokolenie. Musisz wiedzieć, że po ucieczce Delfina z Paryża...

— Pozwól — przerwałem. — Wszystko to są rzeczy dla mnie zupełnie nowe. Nic nie wiem o ucieczce...

— Masz słuszność — rzekł kapitan. — Zaczniemy zatem „ab ovo". — Pogawędka nasza przekształciła się w ten sposób w monolog.

Przyznać muszę, że przyjaciel mój okazał się prawdziwym mistrzem sztuki opowiadania. Słowa jego na tle smętnej muzyki, dolatującej z przyległej sali, brzmiały dziwnie patetycznie i czasami, zwłaszcza gdy przymknąłem oczy, zdawało mi się, że słucham jakiegoś melodramatu. Mówił ze swadą i ani na chwilę nie wątpiłem, że powtarza historję, która ongiś zdarzyła się rzeczywiście.

— Na uwolnieniu Delfina z więzienia — opowiadał kapitan — zależało całej partji królewskiej, która prowadziła wówczas wojnę w Wandei. Z drugiej strony, rząd rewolucyjny pilnował go jak oka w głowie. Nie wiem, kto był autorem uprowadzenia chłopca z Temple, zdaje się jednak, że pewną rolę odegrali tu generałowie Pichegru i Hoche, którzy przekupili przez swych agentów żonę urzędowego opiekuna i wychowawcy jego, szewca Simona. Przy wydatnej pomocy tej kobiety ukryto Delfina na poddaszu więziennego gmachu, rozpuszczając pogłoskę, że uciekł. Rząd, który nie wątpił, że księcia niema już w Paryżu, postanowił ukryć ucieczkę za wszelką cenę i podsunął w jego miejsce chorowitego chłopca, zabranego z jednego z szpitali miejskich. Od tej chwili wolno było zaglądać do Temple tylko wtajemniczonym lub ludziom, którzy nie znali małego Ludwika. Wieść o chorobie więźnia skłoniła jednak gminę do wysłania do niego lekarza, wspomnianego dra Desaulta, który odkrycie tajemnicy przypłacił śmiercią...

Przerwał, odwzajemniając ukłon dwóch przechodzących obok stolika panów. — Zgon chłopca — mówił dalej po chwili — odgrywającego rolę księcia, był dla spiskowych hasłem do działania. Wyjęli oni rano w dniu pogrzebu zwłoki domniemanego Delfina z trumny i włożyli do niej prawdziwego następcę tronu. Trupa pochowano w ogrodzie Temple, a trumnę zawierającą żywego więźnia, kazano przewieźć na cmentarz. Spiskowym udało się jednak w czasie jazdy wydobyć młodego księcia z trumny i schować w uprzednio przygotowanym kufrze. Trumna przybyła na cmentarz, wypełniona tylko... kamieniami...

Chłopca zatrzymano przez pewien czas w Paryżu, powierzywszy go opiece ludzi zaufanych, a po kilku misiącach, z wszelkiemi ostrożnościami, wysłano do Wandei. Nieszczęście chciało, że zaraz po przybyciu do Wandei, Ludwik ciężko zachorował i przez pewien czas liczono się nawet z jego śmiercią. Z tych względów wstrzymano się na razie z ogłoszeniem wieści o jego uwolnieniu, jakkolwiek kilku przywódców powstania odwiedzało go podczas jego pobytu w posiadłości jednego z miejscowych magnatów. A kiedy Ludwik wyzdrowiał, powstanie w Wandei było już stłumione. Praw ostatniego króla Francji nie miał już kto bronić.

— Są ludzie, którym szczęście sprzyja od kolebki — mówił dalej kapitan. — Niestety, książę Normandji nie był dzieckiem szczęścia. Mimo możnych opiekunów i życzliwości, z jaką się do niego odnoszono, następne lata jego życia były nieprzerwanem pasmem zawodów, cierpień i bezowocnych starań o uznanie jego praw. W czasie rządów Napoleona, który chciał stworzyć własną dynastję, Ludwik nie mógł liczyć na żadne względy. Wieść o uratowaniu Delfina Francji przeniknęła do pewnych kół społeczeństwa i zmusiła władze do przygotowania się na wystąpienie „pretendenta". Żona cesarza Józefina utrzymywała, jak wiadomo, stosunki z rojalistami i zapewne wiedziała o wykradzeniu Delfina z Temple więcej, niż ogół przypuszczał.. Inaczej nie można sobie wytłomaczyć zarządzonego przez Napoleona śledztwa w tej sprawie i znalezienia przez jego urzędników zwłok fałszywego księcia w ogrodzie Temple. Zaczęły się poszukiwania za zbiegiem, którego z konieczności przewożono z miejsca na miejsce i z kraju do kraju. Nie pomnę nazwisk przyjaciół jego i wtajemniczonych, których liczba — jak łatwo zrozumieć — była niewielka. Prawdę mówiąc, uznanie praw małoletniego Ludwika było podówczas niepodobieństwem. Był on z wielu względów niewygodny, a sytuacja jego pogarszała się z roku na rok. Z Francji przewieziono go do Włoch, potem do Niemiec i Anglji, potem znowu do Francji... Liczba przyjaciół jego zmniejszała się w sposób przerażający. Kilku z nich zmarło w tajemniczych okolicznościach.

Strząsnął popiół z papierosa i wlepił oczy w sufit.

— Sewer wspominał mi o kilku zamachach na życie dziada, o miesiącach spędzonych przez niego w więzieniu za nieokreślone bliżej przewiny, o bezowocnych wysiłkach porozumienia się z najbliższą rodziną, która o istnieniu jego nie chciała wiedzieć... Rzecz dziwna, największym wrogiem okazał się jego stryj, późniejszy Ludwik XVIII...

Odrzucił niedopałek papierosa i złożywszy ręce na piersiach dodał z lekkim sarkazmem:

— Zdaje się, że uważał go za natręta lub szaleńca. Rodzina Sewera jest jednak innego zdania. Nasz przyjaciel powiedziałby ci z pewnością ,że Ludwik XVIII chciał ze względów egoistycznych krewniaka swego unieszkodliwić. Listy jego pomijał milczeniem, a pretensje uważał za komiczne. Było w owym czasie we Francji kilku ludzi, którzy podawali się za uratowanego cudem księcia Normandji. Oszustów ścigano i karano więzieniem. Zazwyczaj jednak ośmieszali się sami... Była to celowa robota, mająca zniechęcić ogół do wszystkich pretendentów. To pewne, że z roku na rok ogarniało ks. Normandji — pozostaniemy chwilowo przy tym tytule — coraz większe zniechęcenie i gdyby nie wydatna pomoc jednego z nielicznych jego przyjaciół Ludwika hr. Severe'a, kto wie, czy nie odebrałby sobie życia. Był przecież jednostką niepotrzebną, ukrywającą się pod fałszywem nazwiskiem Hébenta, człowiekim niewygodnym i ściganym przez władze! Przyszedł wreszcie rok 1815...

— Chłopcze! — zwrócił się nagle do kelnera. — Filiżankę czarnej kawy! Ciekawa historja, nieprawdaż? — zapytał, mrugając ku mnie.

— Nie pomnę z jakich powodów — podjął wątek opowiadania — książę musiał w tym czasie opuścić Marsylję, gdzie mieszkał przez dwa lata. Zdaje się, że chciano go zwabić w zasadzkę i unieszkodliwić, gdyż pod Paryżem, do którego jechał wraz z nieodłącznym hr .Severe, napadła na nich garść ludzi zbrojnych. Woźnica, prawdopodobnie przekupiony ,zbiegł. Hr. Severe padł zabity, a poraniony i potłuczony ks ążę stracił na pewien czas przytomność. Ocknąwszy się, stwierdził, że obdarto go prawie do naga i że ukradziono mu, wszyte w ubranie ważne dokumenty. Ciało hr. Severe leżało opodal, zimne i martwe. Książę przetrząsnął kieszenie zabitego, znalazł jego paszport, kilka listów i kieskę z pieniędzmi. Musiał usnąć lub stracić zmysły, tym razem na dłużej...

— Zbudziły go do życia oczy — błękitne, promienne, przyglądające się mu z wyrazem głębokiego wzruszenia. Przesunął ręką po czole, aby się skupić, a kiedy podniósł głowę, stwierdził, że leży na szerokiem łożu, w jakiejś staroświeckiej komnacie. Przez okno w głębi wpadały potoki słonecznego światła, które spływało do stóp siedzącej przy łożu kobiety. Była piękna... bardzo piękna — nie tą pięknością, która burzy krew i przemawia do zmysłów, ale tą, która budzi radość życia, cześć i podziw. Przyglądał się jej w niemym zachwycie. I zdało mu się, że w jasnej aureoli nachyla się ku niemu postać świętej, pełna niewysłowionego wdzięku, która jednem poruszeniem dłoni może odpędzić precz rzesze demonów wszelkich nieszczęść, prześladujących go przez całe lata. Rzecz dziwna, pierwszy rzut oka na twarz tej kobiety pouczył go, że oto przyszła przemiana. Słowa miały już mniejsze znaczenie...

— Była córką oficera szwoleżerów, Polaka w służbie francuskiej jednego z tych najwierniejszych, którzy towarzyszyli cesarzowi na równiny Waterloo i w krwi ostatniego pobojowiska Niezwyciężonej Armji utopili wszelkie nadzieje na pomyślność własnej ojczyzny. Pułkownik Szeliga zamyślał właśnie wracać do kraju i osiąść w majątku swoim w okolicach Poznania. Było to życzenie córki jego Heleny, która wraz z ciotką przybyła przed kilku miesiącami do Paryża i zatrzymała się tutaj z konieczności, kiedy wybuchła wojna. Przygotowania do powrotu do kraju, teraz, kiedy we Francji zaczęły się nowe rządy, zajęły jednak dużo czasu i napotykały na trudności. Helena nudziła się w obcem środowisku, a skazana obecnie na przebywanie w domu — oficerów Napoleona uważano nieledwie za zdrajców dynastji — prowadziła życie prawie pustelnicze. Jedyną jej przyjemnością były wycieczki powozem w okolicę. Los chciał, że w czasie jednej z takich wycieczek, w drodze powrotnej z Fontainebleau znalazła na gościńcu dwie ofiary tajemniczego napadu; zabrała je do pojazdu i mimo oporu towarzyszącej jej ciotki przewiozła do Paryża. Trupa jednej z nich pochowano, nie stwierdziwszy nazwiska, a bezprzytomnego księcia Normandji, w ubraniu i z papierami hr. Severe'a, kazała Helena zawieźć do mieszkania ojca. Bóg jeden wie, dlaczego to uczyniła. Może tam, w górze, przeznaczone było, aby biedny wygnaniec znalazł przy niej to, o co wielu walczy próżno przez całe życie... miłość i szczęście.

Westchnął i mówił dalej z patosem, jakby chcąc podkreślić stronę moralną swej opowieści.

— Trudno mi bawić się w szczegóły... Pielęgnowała go przez szereg tygodni i prawdę mówiąc, tylko jej zawdzięczał życie i zdrowie. Przychodził zwolna do siebie, ale czuł, że dzieje się z nim coś dziwnego. Jeszcze przedtem, nim wyznał jej swą miłość i nim ona zdała sobie sprawę, że uczucie, jakie żywi dla nieznajomego, nie jest litością, ale czemś znacznie silniejszem, musieli omawiać wiele rzeczy pierwszorzędnej wagi. I jeszcze przedtem biedny wygnaniec musiał zrozumieć, że obowiązkiem jego jest wyznać prawdę i zwrócić uwagę gospodarzy, na co się narażają, biorąc go w opiekę. Nie wiem, kiedy przyszło do wyjawienia tajemnicy i kto poddał myśl, aby książę pozostał przy nazwisku Severe. Sądzę, że Helena, powodowana kobiecym egoizmem, skłoniła kochanka do ucieczki i zaniechania dalszej walki o swoje prawa w warunkach niekorzystnych... A może sam Ludwik wybrał między niepewną przyszłością, a życiem przy boku umiłowanej kobiety?...

— Sądzę — mówił dalej mój towarzysz — że pułkownik Szeliga był wielce zdziwiony, dowiedziawszy się o wszystkiem. I jestem pewny, że Helena musiała dołożyć wszelkich starań, aby rozproszyć zupełnie zrozumiałe wątpliwości ojca. Jakkolwiek się jednak sprawa miała, nie przypuszczam, aby oświadczenie hr. Severe'a, że jest pretendentem do tronu francuskiego, wywołało dodatnie wrażenie. W każdym razie Szeliga doradził rekonwalescentowi, przekonawszy się, że uczucie córki jest szczere i głębokie, aby wyjechał z nimi do Polski i obiecał postarać się u ministra Fouchego o pozwolenie na opuszczenie przez niego Francji. I tak się stało. W pół roku później hr. Severe poślubił w Poznaniu swoją wybawicielkę, dziedziczkę Sadów, Wnękowej Góry i Wiatrowic...

— To pięknie — rzekłem z uznaniem. — Ale potem... kiedy minęły miodowe miesiące, czy książę nie czynił starań o uznanie swoich praw? Nie porozumiewał się z przyjaciółmi? A rodzina hr. Severe'a?

Kapitan wzruszył ramionami.

— Może i czynił — rzekł — nie przykładał jednak do nich żadnej wagi. W każdym razie pozostały tajemnicą. Zresztą, był szczęśliwy i nie miał powodu żałować swej ofiary... o ile można mówić wogóle o ofierze. Te lata, które spędził przy boku żony wynagrodziły go sowicie za doznane cierpienia. Żyli

(Dokończenie na str. 18-ej).

1.
A.-B. TIPSTJÄNST SIFFER-TIPS. 590110
1 Juni 1936.

	1	2	3	4	5	6
[illegible]	1–1	–	–	–	–	–
[illegible]	2–0	–	–	–	–	–
[illegible]	3–2	–	–	–	–	–
[illegible]	5–1	–	–	–	–	–
[illegible]	3–3	–	–	–	–	–
[illegible]	4–2	–	–	–	–	–

Namn Gunnar [illegible]
Adress Scheelegatan 5 Poststn Stockholm

590110
2. 1 Juni 1936.

	1	2	3	4	5	6
[illegible]	1–1	–	–	–	–	–
[illegible]	2–0	–	–	–	–	–
[illegible]	3–2	–	–	–	–	–
[illegible]	5–1	–	–	–	–	–
[illegible]	3–3	–	–	–	–	–
[illegible]	4–2	–	–	–	–	–

Poststn Stockholm

A.-B. TIPSTJÄNST Del 3 avskiljes av ombudet. 590110
3. 1 Juni 1936.

	1	2	3	4	5	6
[illegible]	1–1	–	–	–	–	–
[illegible]	2–0	–	–	–	–	–
[illegible]	3–2	–	–	–	–	–
[illegible]	5–1	–	–	–	–	–
[illegible]	3–3	–	–	–	–	–
[illegible]	4–2	–	–	–	–	–

Na lewo: Bilet służący przy grze w totalizatora.

FUTBALOWY »TOTEK«





W kole: Skandynawski „dyktator" piłki nożnej C. A. Ledin.

Zielonej murawy toru wyścigowego przeniósł się totalizator na równie zieloną murawę boisk piłkarskich. Dziś już nietylko w Anglji, ale i w wielu krajach kontynentu, publiczność grywa w totalizatora, znajdując w nim okazję do łatwego wzbogacenia się. Znanym jest proces, jaki rozegrał się w Anglji między Federacją Piłkarską a właścicielami zakładów totalizatorskich, w którym to sporze jednak zwyciężyli zwolennicy totalizatora, gdyż poparła ich publiczność, żądna emocji gry.

W Polsce nie ma oficjalnego totalizatora piłkarskiego, ale nie brak prywatnych zakładów na mniejszą i większą skalę, co dowodzi, że i u nas instytucja, w rodzaju totalizatora ligowego, znalazłaby wielu otwartych zwolenników, gdyby taką innowację wprowadzono.

Ojczyzną totalizatora piłkarskiego jest oczywiście Anglja, ale kraj, gdzie doprowadzono go do wysokiej sprawności administracyjnej, to Szwecja. Do kraju tego wprowadzono grę przed dwoma laty a obecnie totalizator piłkarski zdobył sobie trwałe powodzenie i olbrzmi zasięg. W każdym tygodniu bierze udział w grze ok. miljona osób, czyli 1/6 część całej ludności Szwecji. Można sobie wyobrazić, jak olbrzymiem zainteresowaniem cieszą się rozgrywki piłkarskie, choć może podkładem tego zainteresowania nie jest koniecznie przywiązanie do idei sportowej.

Toteż w każdą niedzielę wieczorem przed redakcjami dzienników wystają tłumy ludzi, wyczekujące na ogłoszenie wyników. A w poniedziałek rozpoczyna się olbrzymia praca obliczania kartek totalizatora i wylosowywanie zwycięzców. Równocześnie publiczność już przygotowuje się do gry na następną niedzielę i oblicza szanse swych faworytów. Rozpoczyna się gra na nowo, rosną nadzieje na zdobycie majątku...

Jasnem jest, że tego rodzaju instytucja nie mogła obejść się bez interwencji państwa. Totalizatorem szwedzkim kieruje towarzystwo akcyjne, którego właścicielem w większej części jest rząd. On to wyznacza przewodniczącego tej instytucji, jego zastępcę, dwóch kontrolerów, jednego rewizora i dwóch asystentów.

Dochody płynące z tej instytucji, a nie są one tak małe, przeznacza się na cele sportowe i społeczne. Państwo oczywiście pobiera podatki a oprócz tego otrzymuje 30 proc. każdej wygranej. W sumie więc tworzą się znaczne pozycje budżetowe, które w obecnym okresie kryzysu nie są do pogardzenia. W roku ub. np. państwo otrzymało z totalizatora piłkarskiego niemniej jak 15 miljonów koron.

Zaglądnijmy za kulisy tej sprawy. Mają one dużo głębsze podłoże, niżby się wydawało. Pomijając już dochody państwa, przyjemność publiczności, totalizator daje zajęcie setkom bezrobotnym, gdyż tyle osób wymaga obliczanie wyników. Z samych opłat pocztowych państwo ma co tydzień 80.000 koron



Powyżej: Specjalne urzędniczki porządkują „tickety", które wygrały.

wpływu, gdyż wszystkie wypłaty totalizatora następują przez pocztę.

Organizacja totalizatora jest zupełnie prosta. Wydaje się trzy rodzaje biletów gry, które można otrzymać w każdym sklepie z wyrobami tytoniowemi za 25 örów. Pierwszym rodzajem gry jest t. zw. „Stryk-tipps". Jest to najczęściej używany totalizator. Na karteczce znajduje się 12 par klubów, rozgrywających w danym dniu mecze o mistrzostwo. Przy każdej parze stawia się cyfrę 2, jeżeli typuje się na zwycięzcę klub, wymieniony na drugiem miejscu, cyfrę 1, jeżeli typuje się przeciwnie, a znaczek „x" jeśli przewiduje się remis.

Suma uzyskana z wpływów zostaje podzielona między trzy kategorje. Do pierwszej należą ci, którzy przewidzieli wszystkie wyniki, do

Na lewo: Oto gdzie kontrolują i przeliczają „tickety" totalizatorskie.

drugiej ci, którzy znaleźli się najbliżej prawdy, a do trzeciej, osiągający nieco gorszy wynik od drugiej kategorji. Oczywiście im więcej ludzi „trafi" wynik, tem wygrana jest mniejsza, ale ponieważ mało ludzi odgaduje wszystkie wyniki, przeto sumy przypadające na pierwszą kategorję nie są takie małe, a od czasu do czasu zdarza się, że całą wygraną zabiera jeden człowiek. Wtedy w ciągu jednego dnia taki szczęśliwiec staje się bogaczem.

Tylko, że takie wypadki zachodzą bardzo rzadko. W ub. r. zanotowano tylko cztery tego rodzaju rekordy. Nieco lepiej jest w roku bież., gdy już trzy razy zabrał całą wygraną jeden człowiek. W sezonie ubiegłym pewna pani otrzymała 36.000 koron, w drugim wypadku 18-letni roznosiciel gazet dostał 60.000 koron, potem pewien robotnik z Trollhätten nawet 74.000 koron a drugi z Gävle 53.000 koron.

W bieżącym sezonie wygrane były dużo większe, co dowodzi, że liczba zwolenników totalizatora znowu wzrosła. Wygrana bowiem wynosiła w pierwszym wypadku 71.000 koron, w drugim 74.000, a w trzecim nawet 83.000 koron.

Drugi rodzaj totalizatora to odgadywanie cyfrowych wyników meczów. W tym rodzaju gry do odgadnięcia mamy tylko wyniki sześciu meczów. Rozdział wygranych następuje podobnie, jak w pierwszej odmianie totalizatora, z tą różnicą, że wygrane rozdziela się tylko między dwie pierwsze kategorje grających. Trzecią i najmniej popularną odmianą gry jest sposób t. zw. pools. Polega ona na tem, że odgaduje się, który klub poprawi swoją pozycję w tabeli, a który ją sobie pogorszy.

Jasnem jest, że totalizator wpłynął zdecydowanie na wzrost popularności piłki nożnej. Na każdy mecz chodzą tłumy widzów, chcąc nietylko najwcześniej dowiedzieć się, czy coś wygrali, ale także usiłując z formy drużyn wywnioskować, na który z nich należy stawiać, aby stać się szczęśliwym zdobywcą wygranej.

Tak więc totalizator piłkarski staje się niemal grą narodową. Instytucja, która organizuje tę zabawę rozwija się doskonale, państwo zarabia duże sumy, kilkuset bezrobotnych znajduje zajęcie, któregoby w innym wypadku nie dostali, od czasu do czasu trafia się szczęśliwiec, który wzbogaca się szybko a ponieważ nikt nie żałuje małej stawki przegranej, żywiąc nadzieję, że następnym razem odegra się — więc wszyscy są zadowoleni i gra idzie dalej!

G. S. (Sztokholm).

GWIAZDY

NA CODZIEŃ



Joan Crawford w studio i na codzień.

Kino ma nieograniczone możliwości. Tak zapewniają ludzie filmu. Przy obecnym stanie techniki filmowej — rzeczywiście wszystko staje się dla filmu możliwem i wykonalnem. Każde kłamstwo i każda prawda. Temu też należy przypisać, że istnieje tak wielka różnica — taka przepaść — między światem żyjącym i pulsującym prawdziwą krwią — a tym z ekranu, wyczarowanym ręką reżysera i operatora - przy pomocy olbrzymiej aparatury i mnóstwa technicznych środków pomocniczych.

Temu też należy przypisać wielkie powodzenie, jakiem cieszy się film.

Stał się on w ostatnich czasach narkotykiem odurzającym widzów i wprowadzającym ich w niedostępne sfery. I pomimo, że publiczność zdaje sobie sprawę, że to złuda — to jednak godzi się z nią i pragnie jej w swej codzienności. Ludzie chcą być okłamywani, a kino im w tem pomaga.



Marlena Dietrich u siebie w domu.



Mae West, jaką ją widzi operator (u góry) i w rzeczywistości, obserwowana przez reportera (na lewo).



Racine dawał ludzi takiemi jakiemi oni byli naprawdę, Corneille widział ich takiemi, jakiemi jego zdaniem być powinni.

Tworząc paralelę, możnaby powiedzieć, że reporterzy fotografowie odtwarzają zdarzenia i świat istot żyjących, a nadewszystko kobiety — takiemi, jakiemi są naprawdę — jakiemi są na codzień i w życiu prawdziwem. Inaczej przedstawia się rzecz z operatorami filmowymi. Ci ostatni widzą zdarzenia, wszystko co ich otacza, a także kobiety takiemi, jakiemi one być powinny — jakiemi chce je widzieć reżyser i publiczność — i wreszcie jakiemi im każe być scenarjusz.

Różnica spojrzeń reportera i operatora — została podyktowana przymusem odrębnego patrzenia na świat i wymaganiami publiczności. Tu leży właściwa przyczyna i początek narodzin kinowego ideału kobiety, która poza ekranem — u siebie w domu, najczęściej daleką jest od tego właśnie ideału.

Z całą pewnością różnica między gwiazdą filmową na ekranie i u niej w domu — choćby podczas przyjęcia dla prasy i zaproszonych gości, jest o wiele większa, niż między aktorką teatralną na scenie i na ulicy. Leży to oczywiście w możliwościach kina i teatru. Obraz rzeczywistości przefiltrowany przez objektywy aparatu filmowego i wyświetlony na ekranie, odbiega bardzo od rzeczywistości, z chwilą kiedy teatr wraz ze swemi szminkami i staromodnemi reflektorami, oraz rampą — stanowią wycinek życia, uniesionego nad poziom szarzyzny zaledwie o wysokość sceny i odległy od publiczności o łatwo przekraczalną przestrzeń.

Kino jednak czyniąc cud ulepszania rzeczywistości, wymaga od twórców poszczególnych ról jednej rzeczy. Fotogeniczności! Być fotogenicznym, to najważniejszy postulat filmowego powodzenia, — to klucz do zamkniętych drzwi świata filmu...

Co to jest fotogenika? Tajemniczy układ mięśni twarzy, zdolność łatwego wyrażania uczuć, mimika, która staje się już akrobatyką i wyraz — składają się w głównych zarysach na znaczenie tego tajemniczego słowa.

Wystarczy spojrzeć na bohaterki ekranu takiemi, jakiemi je stworzyła natura i porównać je z temi, jakiemi je film i reklama filmowa uczyniła. Metamorfoza zdumiewająca — granicząca z cudem.

Boginie ekranu w „stanie surowym" — jeżeli tak można powiedzieć, upodabniają się w skromnej atmosferze dnia wolnego od pracy w studio do prowincjonalnych piękności.

Czy będą one czarować jako wielkie grzesznice, czy ujmować jako skromne gospodynie? To zależy od operatora...

Greta Garbo bożyszcze wielomiljonowego tłumu dba jak żadna może inna gwiazda filmowa o swoją pozycję zwiewnej postaci, bohaterki sentymentalnej legendy. Dba ona nietylko o swój prestiż intelektualny, (który

SNUJĄ SIĘ WSPOMNIENIA...
Marlena Dietrich w stroju ludowym. Fot. Polonsky, Hollywood.



zresztą łatwo obronić), ale przedewszystkiem o swój wygląd zewnętrzny.

Dla tej wielkiej aktorki zewnętrzna prezencja staje się najważniejszym postulatem powodzenia i dlatego wyczarowana przez objektyw „królowa Krystyna" kryje tak skrzętnie swą brzydką — na codzień twarzyczkę — przed niedyskretnem i objektywnem spojrzeniem aparatów reporterskich.

Mae West — aktorka, potem właścicielka rewji, której „nocny sąd" amerykański bezpośrednio po przedstawieniu o 12 w nocy — zakazał urządzania widowisk z powodu zbyt nagich atrakcyj, któremi raczyła swoją publiczność — otóż ta właśnie Mae West przeniosła się do filmu, aby przeżyć najbardziej zdumiewającą przemianę. Z brzydkich otłuszczeń i spod wulgarnego podmalowania — ukazała się oczom widzów kinowych nowa West — wielka aktorka — kusząca czarownica, żonglująca uczuciami

Mae West zabłysnęła dzięki operatorom filmowym, a jej seksualna kordjalność stała się czemś bardziej efektownem, niż sztandartowy sex-appeal.

A teraz J. Harlow. Zwykła pospolita na codzień twarz roztoczyła na ekranie olbrzymią wprost gamę najbardziej wyrafinowanych i subtelnych uczuć, odtwarzanych w sposób doprawdy ujmujący.

Liljan Harwey — posiadająca typ lalki mechanicznej i urok muzycznego automatu, pomimo swego jednolitego wyrazu, przeżywa swe role z tak wielką dozą tego, co jest nawskróś ludzkie, że zapomina się o tej Harwey, która w domu potrafi płakać i przybierać brzydkie grymasy. Wtedy mięśnie twarzy, pozbawione świateł i szminki, kurczą się, rozprężają i powodują, że nasza znajoma z ekranu staje się bardzo brzydka i zupełnie inna.

Powodzenie Claudette Colbert jest po części także tajemnicą... publiczności, która szuka w niej cech bardzo kobiecych z domieszką łacińskiego powabu i lekkości. Mała i sympatyczna Colbert nie jest piękną. — Ale operator potrafił uczynić ją królową urody kobiecej. Film podkreślił jej wdzięk, młodość i urok.

J. Crawford jest piegowatą i ma nieładną szczękę. Na codzień jej usta są zbyt szerokie, ale wszystkie te rzeczy, albo giną pod szminką odpowiednio oświetlone, albo nabierają specjalnego wyrazu na taśmie. — Crawford nie jest nawet ładnie zbudowana. I tu jednak przyszedł w sukurs krawiec ze swemi kreacjami z bajki, a także operator filmowy, który przez umiejętne ujmowanie postaci Joan „wydłużył ją" i uczynił nieomal monumentalną.



U góry: Dwie fotografje Jean Harlow.



Na prawo: Greta Garbo w życiu codziennem nie przypomina zupełnie „boskiej Grety" z ekranu.



U dołu: Wszystkie błędy urody Claudette Colbert giną w świetle reflektorów.

A wreszcie Marlena Dietrich. Długo, bardzo długo nie można było sobie dać rady z twarzą tej aktorki. Wystające kości policzkowe dawały brzydkie cienie na zdjęciach. Twarz nabierała nieciekawych grymasów. — Marlena kiedyś nie była niczem, jak tylko małą subretką, a w najlepszym razie kandydatką do małych rólek w krótkich epizodach. Ale któregoś dnia Marlena stała się dzięki Sternbergowi, który bawił w Europie — wielką gwiazdą. Nietylko jednak ten reżyser przyczynił się do tego ,że została ona wielką aktorką. Zadecydował o tem w dużej mierze operator, który pokonał trudności i uczynił Marlenę taką, jaką być powinna. Dziś Dietrich znana prawie wyłącznie ze zdjęć filmowych i filmów, stała się typem kobiecej urody — pociągającej, tajemniczej i egzotycznej nieomal w temperaturze wyrażanych uczuć.

Podobną była karjera sławnej dziś aktorki rosyjskiej Anny Sten. Niepozorna i nieomal brzydka aż do czasu, kiedy w filmie amerykańskim „Nana" stanęła na szczytach sławy. Jest rzeczą pewną, że przed laty Anna Sten nie zabłysnęłaby tak mocnem światłem gwiazdy pierwszorzędnej wielkości na firmamencie filmu. Stało się to możliwem dzięki olbrzymiemu rozwojowi kina.

Piękności wyimaginowane i twarze bardzo prawdziwe dają wrażenia doskonałości, tak jak rzeczy bardzo wielkie i bardzo małe. Przeciętność nie odgrywa i tutaj żadnej roli. I tak tylko rzeczy wyimaginowane i nawskróś prawdziwe posiadają urok swych tajemnic.

. Jest pewnem, że nikt nie może długo patrzeć bez zobojętnienia na wciąż te same „ulepszone twarze". Dlatego dobrze będzie, jeżeli one choć na chwilę będą żyły swem życiem istotnem, zapłaczą prawdziwemi łzami i uśmiechną się szczerze...

Ale na to nie często pozwala reżyser, który bohaterów filmu zaklął w posągi, których strzeże interes wytwórni przed niedyskretnemi spojrzeniami niewtajemniczonych.

B.

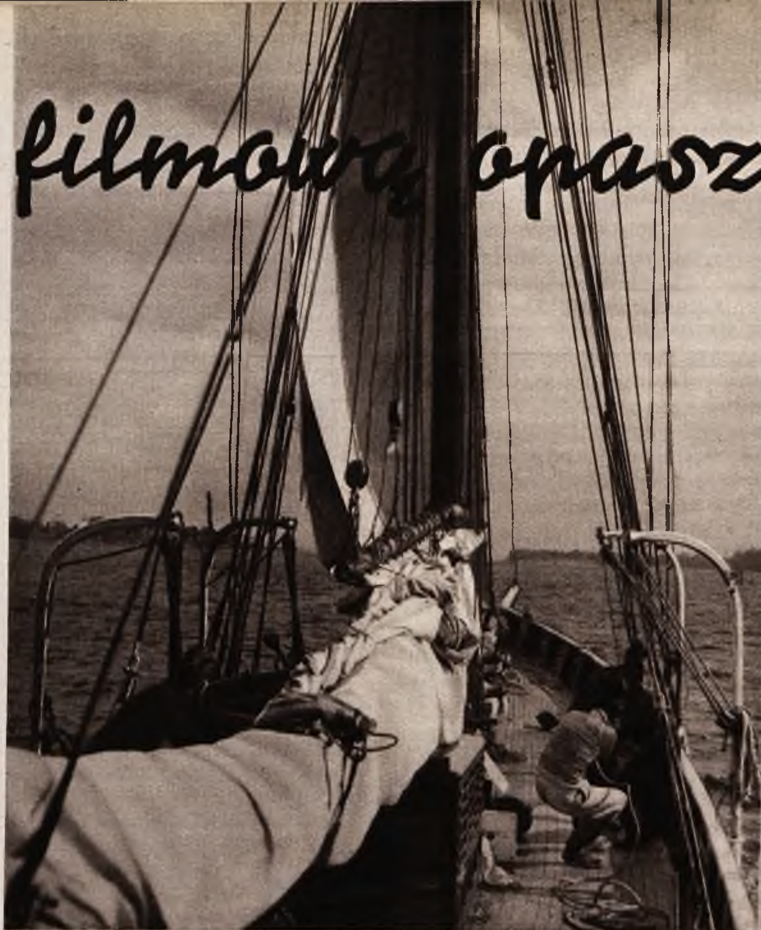
Taśmą filmową opaszą świat

Ludzie, którzy zamieszkali w pływającym domu. Przez cztery i pół lat płynąć będą z rozwiniętemi żaglami poprzez wszystkie morza i oceany świata. Zawijać będą do portów obcych, przebiegać dżunglę, step, tundry — przedzierać się przez gąszcza puszczy, przeprawiać przez bagna, i prażyć się w słońcu pustyni piaszczystych. To wyprawa filmowa z Glasgow. Grupa szkockich zapaleńców, którzy wyruszyli na zdobycie — obrazu świata.

Podróż swą naokoło świata, odbywają na pokładzie jachtu żaglowego „Rozalinda". Przedstawimy państwu bohaterów tej wielkiej przygody.

A więc zacznijmy od pań:

Pani Russel Elder, małżonka kierownika wyprawy pana Elder z Glasgow. Spełnia funkcje gospodyni na jachcie „Rozalinda" i prowadzi administrację całej wyprawy. Towarzyszyć będzie mężowi w tej podróży naokoło świata. Podróż więc odbywa się pod hasłem: „W każdym porcie własna żona".





Kierownik ekspedycji prof. Elder z Glasgow (na prawo) oraz operator Blake Dalrymple przy sterze jachtu „Rozalinda".

Powyżej: Na pokładzie jachtu „Rozalindy" szkockiej ekspedycji filmowej, która przybyła do Polski dla dokonania zdjęć dla filmu dokumentarnego.

Poniżej: Członkowie szkockiej wyprawy filmowej na tarasie „Pałacu Prasy" — stoją od lewej prof. Elder, red. Stirling Fallespie (korespondent „Daily Recorder" w Glasgow), pani Elder, operator Blake Dalrymple oraz red. Złotnicki, towarzyszący wycieczce z ramienia M. S. Z.



W kole: Prof. Elder wraz z małżonką i operatorem Dalrymple na pokładzie jachtu „Rozalinda".



Pan Elder, który stanął na czele tej ekspedycji, jest specjalistą filmów naukowych. Ma też poza sobą karjerę sportową. Był mistrzem bokserskim uniwersytetów szkockich, odbywał też dalekie podróże morskie na maleńkich łódeczkach. Wyspecjalizował się w nakręcaniu filmów dla szkół angielskich. Odbył dłuższą praktykę w angielskiem Hollywood — w Elstree.

Towarzyszy mu w tej wyprawie doskonały operator Blake Dalrymple ze szkockiej wytwórni filmowej w Ayr. Młody ten, lecz już doświadczony filmowiec powrócił niedawno z wyprawy do Brazylji, gdzie w nader ciężkich warunkach nakręcił szereg filmów dokumentarnych.

Wreszcie czwarty członek wyprawy to sympatyczny dziennikarz p. Stirling Gillespie z „Glasgow Daily Record". Pismo to wysłało go w ową podróż naokoło świata, aby przesyłał reportaże z drogi.

Cała ta czwórka — wraz z czterema członkami załogi odbywa podróż na jachcie „Rozalinda", wzdłuż trasy — która prowadzi z Polski poprzez Bałtyk, Morze Północne, Kanał La Manche, Atlantyk, Gibraltar, Morze Śródziemne, Kanał Sueski, Ocean Indyjski do wybrzeży Indyj, następnie wzdłuż archipelagu Malajskiego do Australji, Nowej Zelandji. Następnie jacht przetnie Ocean Spokojny, przejedzie wzdłuż zachodnich wybrzeży St. Zjednoczonych aż do Kanady, następnie powróci tą samą drogą do kanału Panamskiego — potem przez Atlantyk znów do Szkocji.

Ładna wycieczka... Taśmą filmową opaszą świat. Przywiozą z tej wielkiej podróży obrazy świata całego. Kilkadziesiąt tysięcy metrów taśmy.

Powstanie z tego kilkanaście a może nawet kilkadziesiąt filmów szkolnych. Będą wyświetlane we wszystkich szkołach Anglji. Bo Anglicy chcą wiedzieć, jak wygląda świat, nad którym roztoczyli swe panowanie. Ekspedycja przecież odwiedzi wszystkie anglosaskie kraje.

W tym państwie słońce jeszcze nie zachodzi. Anglicy wychowując swą młodzież pragną wzbudzić w niej zamiłowanie do wielkiej przygody na oceanach i morzach. Dlatego ten film, jaki znajdzie się na wszystkich ekranach szkół angielskich będzie miał wielkie znaczenie wychowawcze.

Oglądanie filmów szkolnych, tej żywej geografji, napewno zachęci wielu uczniów do pójścia drogą tych wielkich awanturników, którzy rozszerzyli granice małej stosunkowo Anglji na liczne kontynenty. Znaczenie psychologiczne tej imprezy może być i będzie napewno olbrzymie.

Film spełnia w Anglji rolę pomocy naukowej. Jest otwartą księgą — z której młodzi Anglicy uczą się geografji i przyrody. Niestety dla większości naszej młodzieży te księgi są jeszcze zamknięte.

Zbigniew Grotowski.

W PUSZCZY AFRYKI...

Wczesnym już rankiem ciągną ulicami potężne samochody ciężarowe, włokąc niejako za sobą auta pasażerskie, ściany domów przepojone są tym ciągłym, głuchym hałasem, na który składają się miljony głosów, niezliczone pomruki i wycia metropolji... Pośpiech i hałas, oto macki, któremi miasto współczesno wysysa spokój z duszy człowieka.

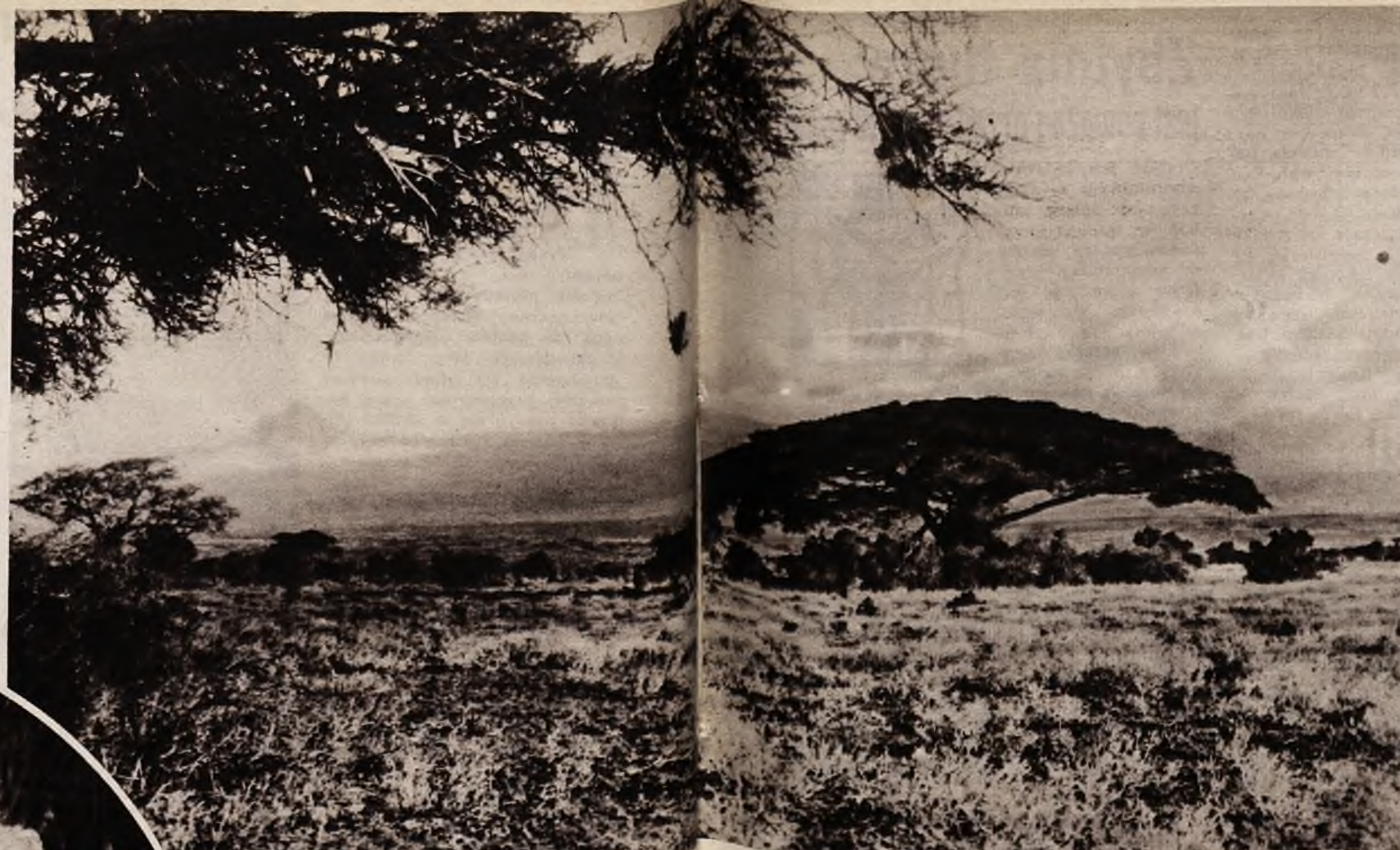
Dosyć tego! Chwila decyzji, godzina obliczeń z ołówkiem w ręku i... rzucamy się w nieznane! Oto już siedzimy na statku, wiozącym nas do Afryki. Przybijamy do portu i z całą karawaną udajemy się wgłąb Czarnego Lądu.

Już choćby tylko oglądając egzotyczne filmy, nagrywane w Afryce, odnosimy wrażenie czegoś, co znacznie przechodzi nasze wyobrażenia. A cóż dopiero, gdy znajdziemy się na tej dziwnej ziemi! Ogarnia nas jakiś nigdy nieodczuwany nastrój, mimowoli wytężamy słuch, aby złowić tak dobrze znane nam hałasy miasta, głosy ludzkie, brzęczenie natrętnych samochodów. Wytężamy wzrok, aby spotkać się z twarzą znajomego, z ulicą, przez którą przechodzimy codzień. Daremnie!

Głosów Afryki trudno sobie wyobrazić. Tworzą one wspaniałą harmonję, w której potężny głos lwa, sapanie nosorożca, wydzieranie się i wydrzeźnianie licznych małp, stanowią jakby ciągle powtarzające się refreny odwiecznej pieśni, Z początku trudno nam przyzwyczaić się do tej względnej ciszy, a nerwy nasze zdradzają niepokój właśnie dlatego, że nie szarpie niemi tempo stolic europejskich. Wkrótce jednak „wekslujemy" na inny tor życia, ogarnia nas jakiś dziwny spokój; ruchy nasze stają się powolniejsze i zaczynamy zżywać się z krajobrazem. Narażeni na niebezpieczeństwo życia, czyhające zewsząd, nabieramy równocześnie zwinności kota i przebiegłości drapieżników, która jest ich życiową logiką. Leżąc na swem posłaniu w namiocie, słyszymy budzenie się puszczy. Pierwszemi dźwiękami są tu ptasie piski, trele, gwizdania i pokrzykiwania, a wkrótce zaczyna im wtórować hałas, powodowany przez tysiączne owady, koniki polne i inne stworzenia puszczy. Raz po raz powietrze rozdziera ryk płowego monarchy pustyni, brzmiący metalicznie i wspaniale. Zbliżanie się nosorożca poprzedza, zdala dające się słyszeć prychanie i sapanie, co bynajmniej nie świadczy o zmęczeniu tego chyżego i zwinnego zwierzęcia, należącego do najgroźniejszych mieszkańców puszczy. Postacią i charakterem przypomina on jakiegoś groźnego, średniowiecznego rycerza, nacierającego na nieprzyjaciela z impetem i starającego się go zmiażdżyć. Inny typ wroga, to leopard i pantera, działające z „finezją". Obliczają one swoje chwyty, jak groźny zapaśnik na ringu, który uderza tylko wtedy, gdy jest pewny swej przewagi. Oczywiście największe zainteresowanie poza przeżyciami codziennemi budzi sam krajobraz. Jest jego tyle rodzai i gatunków, ile Afryka posiada charakterystycznych okolic, różniących się nieraz bardzo znacznie między sobą.

Brak pożywienia zmusza nas do zapolowania na ptactwo, które chętnie przesiaduje na drzewach, znajdujących się opodal polany, pokrytej olbrzymiemi trawami. Usiedliśmy na miękiej ziemi z bronią w ręku. Słońce praży, nad ziemią unosi się monotonny śpiew Czarnego Lądu, składający się z tysiącznych głosów. I człowiek powoli zaczyna je rozumieć, odczuwać i stawać się cząstką puszczy...

John.



Sylwetka Kilimandżaro, wyższej góry Afryki zarysowuje się w oddali...



W kole: Zbudzony z drzemki poobiedniej lew wychodzi z kryjówki, by zbadać sytuację.













Po prawej: Obóz podróżników na wysokości 3.000 m. na stokach Kenji.

W kole: Najgroźniejszym drapieżnikiem jest leopard, zamieszkujący w górach Afryki.

Od lewej: Spotkanie z nosorożcem w olbrzymich trawach Afryki. — Czarni wojownicy ze szczepu Masai, udają się na polowanie na antylopy. — Na widok człowieka pawiany kąpiące się w rzece, rzucają się do ucieczki.

Wszystkie zdjęcia Ag. PRESSE-PHOTO — BERLIN

CIEKAWE DROBIAZGI

Z WYŚCIGÓW W EPSOM



Zamiłowanie Anglików do wszelkiego rodzaju dziwacznych strojów ujawnia się również na wyścigach. Oto oryginalna trójka, ubrana w stroje wyszywane pajetkami, zbierająca datki na dobroczynne cele.

Sport & General, Berlin.

NAJDZIWACZNIEJSZY KLUB



W Ames, Stany Zjednoczone A. P. istnieje klub kobiecy „Club of the four H". Nazwa zapożyczona jest od początkowej litery słów: heart, head, band, health, t. j. serce, mózg, ręka i zdrowie, gdyż członkinie klubu starają się doskonalić w tych czterech dziedzinach. Ostatnio klub obchodził 9-lecie istnienia, a członkinie jego ustawiły się w oryginalne figury, które widzimy na zdjęciu.

Wide-World Photos, Londyn.

(Dokończenie ze str. 8-ej).

Taniec rozpoczyna para, ustawiają się twarzami do siebie i trzymając się za ręce, złożone na krzyż. Mężczyzna przebiera tylko nogami, podczas gdy dziewczyna raz w lewo, raz w prawo zatacza półkola. Z tej figury przechodzą do następnej, podczas której mężczyzna stojąc obraca swą partnerkę wokół siebie, trzy razy w lewo, trzy razy w prawo, poczem para przyjmuje pierwotną pozycję. Figura trzecia jest padobną do drugiej, jednak tańczący mają już tylko jedną rękę uniesioną w górę. Skolei zwróceni twarzami do siebie trzymają się w pas i znów w tej pozycji obracają się trzy razy w lewo i trzy razy w prawo. Po tem pas, jak i po innych powracają do pozycji pierwszej. Figurę następną nazwać można zbiorową, ponieważ para tańcząca chwytając się za prawe ręce, chodzi w takt muzyki wkoło, w czem towarzyszą jej wszyscy uczestnicy zabawy.

Taniec kończy para, która go zaczęła, udaniem się przed orkiestrę i dziękuje jej słowami:

„Bóg wom zapłać za przodka,
dom zato pół-złotka".

Z temi słowami młodzieniec wsypuje skrzypkowi w instrument garść drobnej monety.

Co do samej orkiestry w Szamotułach, zdania są podzielone. Jedni twierdzą, że obrzędom wiejskim w okolicy Szamotuł towarzyszył zespół instrumentów, składający się z harmonji, fletu, skrzypiec i basu; inni zaś dowodzą, że w skład tego zespołu wchodziły: dudy, flet, skrzypce i bas. Ponieważ harmonja jest wynalazkiem 19-go stulecia lub z końca 18-go, należy ją w tym wypadku odrzucić, a w każdym razie zaliczyć do instrumentów niepierwotnych.

Pieśni szamotulskie odznaczają się wielką melodyjnością, a więc jest wątpliwem, by mogły je wykonywać dudy, chociaż twierdzić tego stanowczo nie można. W każdym razie, jeżeli grano na dudach, nie używano już klarnetu. Najprawdopodobniejszem jest, że istniał zespół, złożony z skrzypiec, klarnetu i basów, co zgadza się z tradycją, podawaną przez najstarszych ludzi Szamotuł. Szkoda wielka, że regjonaliści tak mało zajmują się tem zagadnieniem.

Stroje i taniec szamotulski dość często odwiedzają sceny. Kilkakrotnie odegrano „Wesele Szamotulskie" w Szamotułach i w Poznaniu, gdzie zespół wystawił je również przed mikrofonem Radja: spotkało się ono z niezwykłem zainteresowaniem. Trzeba zaznaczyć, że w przedstawieniach tych brali udział wyłącznie ludzie ze wsi, znający doskonale zasady tańca szamotulskiego. W ich wykonaniu zostały one odtworzone najwierniej. Prócz tych imprez na każde dożynki do Spały wyjeżdża delegacja w strojach szamotulskich z ramienia Wielkopolskiego Tow. Kółek Rolniczych.

W ostatnich czasach staraniem prof. gimn. p. Andrzeja Hanyża powstało widowisko pt. „Wieczór pieśni i tańców szamotulskich". Po pierwszych występach rzeczowa krytyka usunęła wiele niedomagań. Widowisko cieszyło się wielkiem powodzeniem na Zjeździe Regjonalnym w Krakowie; jest dowodem przywiązania ziemi szamotulskiej do tradycyj.

Bohdan Kawaler (Szamotuły)

(Dokończenie ze str. 10-tej).

sobą i dla siebie, potem dla syna... On o przeszłości mówił niechętnie, chociaż pochodzenia swego nie ukrywał. Nazwisko hr. Severe'a pozostało już jego nazwiskiem. Z czasem Polska stała mu się drugą ojczyzną. Zżył się z nami, pokochał, nauczył cenić... Zginął pod Ostrołęką, w powstaniu listopadowem, w dwa lata po śmierci żony...

Zadumał się i trwał przez chwilę w milczeniu. Potem podniósł głowę i kończył w te słowa:

— Miłość i krew przelana związała na zawsze potomków pretendenta z naszą ojczyzną. Syn jego, Adam Sewer — pisał się już po polsku — położył wielkie zasługi około podniesienia rolnictwa w Poznańskiem, w ostatnich dziesiątkach lat ubiegłego stulecia. Musisz znać jego nazwisko... Wnuk Henryk był wybitnym działaczem społecznym. Spotkałem się z nim kilka razy w okresie przed Wielką Wojną. Zmarł, jak może wiesz, wskutek nieszczęśliwego wypadku. Juliusz jest ostatnim z rodu. To zacny chłopak i otwarta głowa. Niektórzy pomawiają go o sentymentalizm i romantyczne skłonności... Mojem zdaniem jest tylko bardzo wrażliwy. Widziałeś, jaką przykrość sprawiły mu twoje słowa. Może w głębi jego duszy budzi się czasem żal za utraconą ojczyzną, za rodziną, która się go wyrzekła i korzyściami, dziś już nie do osiągnięcia. Czuje się Polakiem, ale w żyłach jego płynie, bądź co bądź, krew królów Francji, to też wszelkie wzmianki o przeszłości, o przodkach i o pochodzeniu wprawiają go w dziwne zakłopotanie. Może tęskni za czemś podświadomie i to jest powodem jego duchowej rozterki? Może, jak jego dziad, kocha do szaleństwa i gotowy jest poświęcić życie dla miłości? Czasami zdaje mi się, że go rozumiem...

Dźwięki muzyki ucichły w oddali i nastała chwila milczenia. Tłum zaczął napływać na salę. Ocknąłem się, jakby ze snu. Do stolika podeszło kilka osób... I na tem skończyła się nasza ciekawa rozmowa.

Los chciał, że nie miałem już sposobności przeprosić porucznika Sewera za moją niewczesną uwagę. I nie było mi dane dowiedzieć się czegoś więcej o tej niezwykłej historji, usłyszeć potwierdzenie jej z ust młodego oficera... Kiedy w kilka miesięcy później znalazłem się znów w tym samym gronie znajomych, zawiadomiono mnie o jego śmierci. Zginął podobno w pojedynku... ostatni z rodu.



KARNAWAŁOWE KORONY








Od lewej: Hr. Bethencourt, samozwańczy król wysp Kanaryjskich. — Harden-Hickey, książę wyspy Trinidad. — Orllie I. nieszczęśliwy król Aurakanji. — Hr. Maurycy Beniowski, który panował w XVIII-tym wieku na Madagaskarze. — Samozwańczy król Sedangu, Marja I.

Podobnie jak drobne zdarzenia dotyczące życia wielkich ludzi ciekawsze są od ich oficjalnych dziejów, tak też „margines" historji powszechnej przedstawia nieraz barwniejszy obraz, niż ona sama. Na marginesie tym znajdziemy różne nieudałe próby tworzenia nowych państw, znajdziemy spiski, które skończyły się katastrofą sprzysiężonych, znajdziemy wkońcu czyny różnych samozwańczych monarchów, którzy przeszli nietyle do historji, co do anegdoty. A przecież jedyną właściwie różnicą między, dajmy na to fantastycznym królem Sedangu, a Napoleonem I, jest to, że pierwszemu nie udało się utrwalić swego panowania, drugi zaś zdołał to uczynić. Wogóle stwierdzić tu trzeba, że byli to, poza kilkoma manjakami, ludzie naogół zdolni, którzy mogli byli zagrzać nietylko miejsce w swoich królestwach, ale również na kartach historji.

Zawsze istnieli ludzie, którym ciasno było w narzuconych ramach egzystencji i którzy czuli się powołani do wielkich czynów. Z takich to „outsiderów" wychodzili królowie, z własnej łaski. Zwłaszcza różne wyspy słabo zamieszkałe, odległe krainy i dalekie kolonje nęciły samozwańczych władców. Jesteśmy tutaj nieraz na pograniczu historji i farsy; nieraz tragifarsy. „Donogoo Tonka" historja takiej próby stworzenia nowego państwa, ujęta nadwyraz dowcipnie i psychologicznie przez francuskiego autora, jakże żywo przypomina różne epizody monarszych self-mademanów.

Zacznijmy od polskich awanturników (bo tak ich mimo wszystko oficjalnie nazwać musimy), którzy zdobyli choćby na krótko uzurpowaną koronę. Najciekawszą postacią tej galerji jest pół Węgier — pół Polak Maurycy hr. Beniowski de Nagy-Benyo, z pochodzenia Polak, potomek znacznej rodziny, która niegdyś nosiła nazwisko Bieniewski i wyniosła się na Węgry w XV wieku a w XVIII znów powróciła do Polski. Urodzony w r. 1714 w komitacie Nitra zaciągnął się do armji polskiej i dzielnie walczył przeciwko nieprzyjaciołom Rzplitej. Gdy po śmierci ojca, austrjackiego generała, udaje się na Węgry, by załatwić sprawy majątkowe popada w konflikt z rodziną i musi opuścić granice swej ojczyzny. W tym czasie przystępuje do konfederacji barskiej. Wzięty do niewoli przez Rosjan dnia 20 maja 1770 r., zostaje zesłany na Kamczatkę. Po pewnym czasie przy pomocy 76 zesłańców opanowuje okręt stojący w porcie i wyrusza w szeroki świat. Po długich perypetjach i podróżach hr. Beniowski dostaje się na dwór wersalski, który powierza mu zdobycie Madagaskaru, o który Francja już dawno się ubiega. Przybywając na wyspę jako zdobywca staje się wkrótce Beniowski przyjacielem tubylców, zyskuje ich sympatję. Rozchodzi się wieść, iż jest synem księżniczki panującej dynastji: jako taki staje się autorytetem i organizuje wyspę jako własne państwo. Lecz niedługo cieszy się koroną palmową Madagaskaru, Francja bowiem wysyła przeciwko niemu ekspedycję karną. W bitwie stoczonej z wojskiem francuskiem i angielskiem pada on — awanturnik, czy też wielki kolonizator — dnia 23 maja 1786 r. ugodzony kulą. Lecz i drugi Polak będzie zdobywał królestwo Madagaskaru: — jest nim Michał Dzierżanowski herbu Grzymała, który również na krótki czas ustala swoje rządy nad wyspą.

Postacią, której trudno pominąć, a o której jeszcze w przyszłości szerzej pomówimy, był król Minkowiecki — Ignacy Ścibor hr. Marchocki, Dux i Redux na Minkowcach, Belmoncie, Ostrokowie i Ogrodach Przytulijskich pan. Nieodrodne to dziecko 18-wiecznego sentymentalizmu, z którego narodziła się opowieść „Paweł i Wirginja" Bernardina de St. Pierre, jak również „gospodarstwo wiejskie" Marji Antoniny w Trianon i dzieła J. J. Rousseau „Emil" i „Nowa Heloiza". Romantyczność sielska łączyła się w nim z typowym dla naszego 18-go wieku rozmachem kresowych panów, to też będąc dziedzicem wielkich dóbr, Marchocki postanowił idąc za przykładem większych od siebie królewiąt jak Józefa Aleksandra ks. Jabłonowskiego, Radziwiłłów nieświeskich, czy tulczyńskich Potockich, stworzyć własne państwo. Z dużego kompleksu majątków minkowieckich powstało fantastyczne jakby z horacjuszowskich ód wyjęte państewko. Położone nad morzem Czarnem dobra, przezwane przez niego hrabstwem Ruffipolis, przetrwały w rękach jego potomków częściowo aż do czasu wielkiej wojny. Wprowadziwszy ustrój patrjarchalny, Marchocki stał się w swych dobrach prawodawcą, panującym i przyjacielem poddanych. Brał on swoją suwerenność nader poważnie, skoro kazał na granicach państwa minkowieckiego wbić słupy graniczne, pomalowane z jednej strony barwami Rosji, z drugiej

Poniżej: Lady Estera Stanhope, królowa Palmiry. *Ilustrated-Press, Budapeszt.*





Pałac rządowy w stolicy Haiti, byłem cesarstwie Krzysztofa I. *Atlantic-Photo, Berlin.*

swemi kolorami herbowemi. Oglądał je podobno Aleksander II i serdecznie się nimi ubawił. Postać Reduxa ma w sobie dużo uroku, gdyż był to człowiek, który, w sposób nieco naiwny, starał się urzeczywistnić piękne ideały.

Do najciekawszych awanturników — monarchów należał bezwątpienia baron Teodor von Neuhof, który korzystając z niepokojów panujących na Korsyce, w związku z uciskiem rządów republiki Genuy, zagarnął ją pod swe panowanie. Ofiarował panowanie nad wyspą księciu wirtemberskiemu, a następnie czynił starania uzyskania pomocy u sułtana. „Naciągnąwszy" beja Tunisu na okręt z 10-ma armatami, a kupców holenderskich na amunicję i żywność, wylądował w końcu 12-go maja 1736 roku w porcie Aleria. Pierwsza potyczka z flotą genueńską udała się całkowicie, lecz wkrótce potem musiał uciekać z wyspy, tem więcej, że wierzyciele poczęli go nękać. Osiadł następnie w Londynie, żyjąc wspomnieniami i... zapomogami swoich przyjaciół. Innym typem znów był Francuz hr. Béthencourt, który w XVII wieku panował przez pewien czas na wyspach Kanaryjskich. Do najbardziej oryginalnych przeżyć tego rodzaju należy bezwątpienia karjera podoficera francuskiego Mayrena, który rozciągnął swe panowanie nad częścią francuskiej kolonji Tonkin-Sedangiem. Jako Marja I. zdołał utrzymać się przez rok na swoim chwiejącym się tronie, a był on przemyślniejszy od swoich poprzedników, gdyż uzbierał sobie pokaźną sumkę, za którą po opuszczeniu królestwa Sedangu żył w Paryżu. Ciekawy epizod z życia Marji I. znajdą Czytelnicy w num. niniejsz. w dziale filatelistycznym.

Ciekawym typem był również Orllie I. król Aurakanji. Urodzony w roku 1825 w prowincji Dordogne we Francji, Orllie zdradzał od młodości chorobliwą ambicję. Ona to popchnęła go do przybrania szlacheckiego nazwiska Thounens, oraz do wyszukania, fikcyjnych zresztą, dowodów na swe pochodzenie od królów celtyckich! Był to manjak śniący z otwartemi oczami, a co ciekawsze wcielający w czyn swe mrzonki. Początek jego karjery rozpoczął jako adwokat w Perigueux. Pewnego dnia adwokat Antoine Orllie wyrusza do kraju zamieszkałego przez Indjan. Aurakanji, na południu Chile. W roku 1860 zawiadamia rządy państw o swem wstąpieniu na tron i wkrótce po przybyciu i zjednaniu sobie szczepów indjańskich, redaguje nową konstytucję. Zakłada on również nowy order „Stalowej Korony", którym szafuje szczodrze. Republika chilijska chcąc pozbyć się nieprzyjemnego konkurenta, urządziła na niego zasadzkę, która spowodowała w r. 1862 jego aresztowanie, a następnie umieszczenie w jednym z domów dla obłąkanych we Francji. Jeszcze kilka krotnie podejmuje Orllie I. próby odzyskania korony, porusza prasę dla swej sprawy, ale wszystko nadaremno. Bratanek jego, tytułujący się Achillesem I., nie zdoła już dojść swych praw dynastycznych. Ameryka Południowa posłużyła również innemu awanturnikowi za teren jego monarszych planów. Jest nim Amerykanin William Walker, rozpoczynający od dziennikarstwa i adwokatury w Nowym Orleanie, w pocz. XIX. w. Z pomocą 140 drabów podbija Walker półwysep Kalifornji, zdobywa miasto La Paz, wkrótce jednak zostaje stamtąd wypędzony. Ale nie daje za wygraną. Drugim jego „wyczynem" jest zdobycie w r. 1854 republiki Nicaragui, gdzie zdarzają się ciągłe rewolty wewnętrzne. Korzystając z zamętu, armja Walkera złożona z około stu ludzi, ląduje w porcie Realijo. Po różnych perypetjach, śmiałkowie zdobywają Virgin Bay nad jeziorem Nicaragua, wypędzając wojska rządowe, poddaje im się Granada i Walker ogłasza się księciem Nicaragua. Drapieżny ten łupiezca robi wypad na republikę Costaricę, a sam stanąwszy na czele wojska odnosi duże zwycięstwa. Na chwilę świat zapomina, że ma do czynienia z awanturnikiem i uważa go za męża stanu i bohatera: „Biały Dom" nawiązuje z nim kontakt dyplomatyczny. Kilka miesięcy jego rządów demaskuje jednak tego nowoczesnego tyrana: kraj pokrywa się szubienicami, przywraca on niewolnictwo, wprowadza rządy ucisku i rabunku, co rewoltuje jego poddanych n kończy się wypędzeniem „księcia". Powróciwszy do U. S. A. Walker czai się do dalszego skoku na swą ofiarę Nicaraguę. Znów ląduje w porcie Bunta Arenas, lecz dzięki zdradzie kończy się ostatecznie jego karjera. Jeszcze raz rzuci się on na republikę Hondurasu, ale zostaje on rozstrzelany przez pluton żołnierzy republiki i umiera jak bohater. Z monarchistycznych epizodów Ameryki warto wspomnieć jeszcze o cesarzu Haiti Janie Krzysztofie I. żyjącym w pocz. XIX. w. Na czele rewolucjonistów walczących z rządami francuskimi na wyspie San Domingo staje w r. 1812 woźnica Jan Krzysztof i przez pięć lat rządzi wyspą po dyktatorsku. W roku 1812 dyktator obwołuje się cesarzem Haiti jako Henryk Jan Krzysztof I. Jest świetnym politykiem i dobrym organizatorem, buduje wspaniały zamek na szczycie stromego wzgórza, mogący pomieścić 10 tys. żołnierzy. Rządy jego są jednak okrutne: ponad 20 tys. poddanych postradało w tym czasie życie. I on cierpi na manję wielkości: chce się stać dla czarnych drugim „królem słońce". Powstaje wspaniały dwór, stworzony ad hoc z dawnych niewolników, którzy otrzymują liczne dyplomy książęce, hrabiowskie i godności dworskie. Zachorzawszy ciężko w r. 1820 cesarz odbiera sobie życie złotą kulą! Nawet śmierć tego dziwnego człowieka była w swoim rodzaju wielka i wspaniała.

Do pomniejszych monarchów z własnej woli i łaski należy Francuz, baron Thierry samozwańczy król Nowej Zelandji, oraz Filip Pinel, szmugler, król wysepki normandzkiej Ecrehou, który tam faktycznie panował do r. 1883. Od królowej Wiktorji został nawet obdarowany fajką i... drelichowem ubraniem! Inny awanturnik, Węgier Soliman Inger ogłosił się przed wojną światową emirem kraju Somali, należącego obecnie do Włoch. Dziś żyje jako rolnik we wsi rumuńskiej. Amerykanin Harden-Hickey ogłosił się 1898 r. królem wyspy Trinidad, i czerpał następnie znaczne dochody z sprzedawania swego orderu! Skończył samobójstwem z nędzy. Francuski miljarder, fabrykant cukru Jakób Lebaudy ogłosił się cesarzem Sahary, notyfikując swe wstąpienie na tron rządom przez efektownie ubranych „ambasadorów". Skończył on życie w obłędzie. Śladami tych manjaków poszła również bratanica angielskiego męża stanu Williama Pitta — lady Estera Stanhope, ogłaszając się następczynią starożytnych królów Palmiry w Syrji. Obłąkana umarła w swej siedzibie u stóp gór Libanon. W ostatnich czasach prawa do tytułu króla Andorry zgłosił Borys I. urodzony w Wilnie, wzniecając w republice popłoch i zmuszając Francję i Hiszpanję do interwencji.

Trudno wymienić w pobieżnym szkicu tych wszystkich, którzy wychodzili z ram normalnego życia i tworzyli sobie fikcyjne, sezonowe królestwa. O ile większość tych ludzi należała do typu zdecydowanych obłąkańców i megalomanów, o tyle inni, przy sprzyjających okolicznościach, mogli byli wyróść na postacie naprawdę historyczne. Chodziło jednak właśnie o ten łut szczęścia, którego losy im poskąpiły. Diademy, które przywdziali, pozostały koronami królów karnawałowych.

Jan Maleszewski.

O ZMIERZCHU →
Fot. Dr P. Wolff



Z teki muzycznej Teatru im. Słowackiego w Krakowie

»Krakowiacy i Górale«

Duet z II aktu, wykonany przez Alicję Matusiakównę (Basia) i Zbysława Woźniaka (Stach)

Słowa:
WOJCIECHA BOGUSŁAWSKIEGO

Muzyka:
KAZIMIERZ MEYERHOLDA

Allegretto.

p

1. Raz na pniu mię – dzy dę – ba – mi, gdzie siadł – ły w pa – rze tur –
2. Raz nam się krów – ka ga – nia – ła a Ba – sia przy mnie sie –
3. Od – tąd, jak się gdzie spot – ka – my, za – raz o krów – ce ga –

mf

kaw – ki, nie-wiem dla ja – kiej za – baw – ki, trze-po – ta – ły se skrzy-
dzia – ła. nie-wiem jak się to zro – bi – ło, że mi się w o-czach za –
da – my, lub się tur-kaw-ki wspo – mi – na, a tak się zno- wu za –

poco rit.

dła – mi. Pa – trząc na to ich ru-sa – nie, ta-ka mnie lu – bość prze –
ćmi – ło. Bo – jąc się ja – kiej za-ra – zy, ści-sną – łem Ba – się dwa
cy – na. Kie – dy się-dzie – my we dwo – je, kie-dy się z so – bą ba –

mf a tempo

ję – – – ła, zem stod – ko Sta – sia ścis – nę – ła,
ra – – – zy, o- na mi wzbron – ną nie by – ła,
wie – – – my, wten – cas się zda, że o – bo – je

i stąd się wszę – to ko – cha – nie.
wten-cas się mi – łość stwier – dzi – ła.
je – dną du – syc – ka ży – je – my.

mf

rit.



KAPITAN „FAI-TSI-LONGU"

ODCINEK 8.

Napisał H. WILD POWIEŚĆ Tłum. JULJA RYLSKA

ILUSTR. AL. ŻMUDA

— Ukryję ją w mojej kajucie i po zostanie w niej, póki nie przybijemy do Szanghaju — rzekł do mnie półgłosem Harcourt.

Było to rzeczywiście najprostsze wyjście z sytuacji: wysadzić ją na ląd w Szanghaju, w obrębie koncesyj cudzoziemskich. Wtedy Mr. Koo będzie bezsilny wobec niej — ona zaś, jeśli zechce, będzie mogła wsiąść natychmiast na pierwszy lepszy statek, odjeżdżający do Europy.

Tak — wszystko składało się doskonale... gdyby nie ta nieszczęsna lampa! I to w tem miejscu właśnie, podczas gdy cały pokład tonął w ciemnościach! Bo, jak skonstatowałem, oszczędzano bardzo na świetle na na Fai-tsi-longu... Zawsze tak bywa w życiu: jakaś błahostka staje się pierwszem ogniwem łańcucha nieszczęść! Ta przeklęta lampa! Gdyby nie ona, kapitan, który — zamiast siedzieć zamknięty u siebie, przy kieliszku, jak przypuszczaliśmy — włóczył się po pokładzie, nie byłby nas spostrzegł. Kilka kroków zaledwie dzieliło wylot drabiny od wejścia do kajut! — I stąd całe nieszczęście!

Usłyszeliśmy nagle głos kapitana. Harcourt zatrzymał się — nie mógł postąpić inaczej... Z ciemności zbliżało się ku nam, sapiąc i mrucząc jak niedźwiedź, ogromne cielsko kapitana. Stanąwszy przy nas, zapytał brutalnie mego przyjaciela:

— Co to za dziewka?

I od tej chwili miałem pewność, że wszystko weźmie jak najgorszy obrót!

Pani Koo wzdrygnęła się cała, usłyszawszy ów głos szorstki i ochrypły — instynktownie rzuciła się ku Harcourt'owi, jakby szukając w nim obrony. On zaś odrzekł stanowczym głosem:

— Ta pani jest Francuską — tak jak ja. Musi koniecznie dostać się jak najprędzej do Szanghaju. Podjąłem się dowieźć ją tam.

— Co? Pasażerka? — Nie jestem komendantem pasażerskiego okrętu. Spieszno jej do Szanghaju? — A mnie co do tego? — Dalej wynosić się z mego pokładu — i to prędko!

— Dałem słowo honoru, że dowiozę ją do Szanghaju — rzekł Harcourt.

Kapitan zaśmiał się urągliwie:

— Doprawdy? — Słowo honoru! — O, to bardzo ważna okoliczność!

Młoda kobieta umiała widocznie coś, nieco po angielsku; wystarczająco jednak, by zrozumieć, że od tego sporu zależał jej los — i przerażenie ogarnęło ją na nowo. Znając Harcourta, byłem pewny, że w owej chwili byłby najchętniej ubił na miejscu kapitana. Ale potrafił zdobyć się na cudowne — niebywałe wprost opanowanie! Nie poznawałem go.

— Ta pani zapłaci dobrze za przewóz — obiecała dać dwieście dolarów...

Oczywiście te dwieście dolarów Harcourt brał na swój rachunek, bo pani Koo nie miała chyba jednego sapeka, który mogłaby uważać za swoją własność... Kapitan zawahał się. Przy całej złośliwości był bowiem chciwy... Chętnie byłby odesłał z kwitkiem tę kobietę, dla samej przyjemności pokrzyżowania jej szyków — przecież słyszał, że dla ważnej przyczyny musiała jechać do Szanghaju! — i zarazem dla dokuczenia swemu zastępcy, który ją na pokład sprowadził. Lecz te 200 dolarów znęciły go... Dwieście dolarów — w piastrach chińskich — za przejazd pojedynczego pasażera, na którego utrzymanie nie potrzebował wyłożyć ani grosza! — przejazd tak krótki, że w owych czasach płaciło się zań w pierwszej klasie na pasażerskich okrętach zaledwie 40 dolarów!

— Zgoda — mruknął, ale żywić jej nie będę — i niech sobie nocuje gdzie chce. Z szefem mechaników (był to Syngalesko — portugalski, z Macao) — albo z panem, jeśli będzie wolała...

Ostatnie zdanie kryło obelgę pod adresem Harcourta Lecz przyjaciel mój nie zareagował nawet na nią. Czułem, że odetchnął tak, jak i ja z ulgą, i że taki, a nie inny był wynik negocjacji z kapitanem.

Młoda kobieta blada i zdyszana stała obok niego; widocznem było, iż do świadomości jej nie doszła decyzja, jaką powzięto względem niej — ani grubjaństwa, w które nie omieszkał ubrać swego ustępstwa kapitan Fai-tsi-longu.

— Załatwione — zwrócił się do niej Harcourt. — Proszę mi podać rękę. Łatwo tu potknąć się na linie. Zaprowadzę panią do kabiny.

Usłyszałem głębokie westchnienie — pani Koo zachwiała się. Byłem pewny, że upadnie, takie wrażenie zrobiły na niej słowa Harcourta.

— Boże mój! — westchnęła. — Ocalona — jestem ocalona!

— A któż tam jeszcze sunie do nas po nocy?? — rzekł nagle kapitan. — Niechno pan zobaczy, co to — zwrócił się do Harcourta — bo słyszę plusk wioseł...

Po chwili ujrzeliśmy w zbliżającej się łodzi wysokiego wzrostu Chińczyka, a za nim kilku innych, trzymających papierowe latarnie. Po chwili, całe to towarzystwo poczęło gęsiego wstępować po szczeblach drabinki, wiodącej na pokład.

Trąciłem łokciem Harcourta i szepnąłem:

— To Mr. Koo — zdaje mi się, że to on...

— Myślisz? — odszepnął żywo. — A do wszystkich djabłów!!

W tej chwili przodownik pochodu, ów Chińczyk, odziany w niebieską szatę, w czarnej mycce, zdobnej w czerwony guz, wstępował już na pokład Fai-tsi-longu. Wtedy poznałem już z całą pewnością, że był to Mr. Koo. Na jego widok młoda kobieta wydała stłumiony okrzyk i osunęła się na kolana. Harcourt instynktownie stanął przy niej.

— A cóż to za chińska inwazja! — mruknął kapitan i zwracając się do Mr. Koo, rzucił szorstko: — Czego tu chcecie? — Jestem komendantem tego statku. — Gadać prędko, z czem przyszliście — i wynosić się!

Mr. Koo skłonił się na przywitanie, trzymając ręce złożone i ukryte w długich rękawach swej niebieskiej szaty. Poczem zaczął mówić spokojnie, bez cienia gniewu i bardzo poprawną angielszczyzną. Ani jedna zgłoska nie zadzwoniła głośniej od innych w jego przemowie! Powiadał, że przybył na okręt po swoją żonę. Widocznie żona miała ochotę przejechać się po morzu — lecz on, nie uważał tego za wskazane... Nieprawdaż? Żona jego nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństw, które grożą w takiej morskiej podróży kobiecie młodej i samotnej... Obowiązkiem jego było przeszkodzić temu, gdyż, jako legalny jej mąż podjął się opieki nad nią... Kapitan — w swej głębokiej mądrości — niechybnie zrozumie, że on, Mr. Koo, ma słuszność i prawo za sobą — i uzna, iż nie powinien zatrzymywać na swym pokładzie żony wbrew woli męża... Co zaś do Mrs. Koo, to, ujęta zapobiegliwą troskliwością, z jaką mąż pragnie zapewnić jej bezpieczeństwo, niechybnie żywić będzie wdzięczność dla niego, kiedy zpowrotem znajdzie się pod jego dachem...

Mówił to wszystko, kiwając się ustawicznie, jak gdyby kłaniał się ciągle — z rękami złożonemi na piersiach, skrytemi w jedwabnych fałdach rękawów — z twarzą nieporuszoną i obojętną jak maska. Zdawałoby się, że wszystko, co mówił, nie tyczyło się jego osoby — ani śladu wzruszenia, gniewu, zazdrości — nic!

Kapitan postąpił był krok naprzód i stał teraz w pełnem świetle papierowych latarń Chińczyków. W wybałuszonych jego oczach malowało się bezmierne zdumienie — wreszcie przerwał układną przemowę Mr. Koo:

— Słuchajno, ty, Chińczyk — ta mała, to niby twoja żona — naprawdę? Ożeniłeś się z nią? Legalnie ożeniłeś się? — Nie, co za kawał!

I zaśmiał się; cała masa jego tłustego cielska drgała i trzęsła się obrzydliwie w tym potwornym śmiechu.

— A to kawał! — rechotał. — Hej, dobrodzieju, mój zastępco — a pan wiedział, kto to ta kobieta?

Pani Koo klęczała ciągle, oparta o ścianę kabiny, tak, jak osunęła się na ziemię na widok małżonka. Zwrócona ku kapitanowi, wpatrywała się weń z natężeniem.

— Nie obchodziło mnie to wcale, kim jest ta pani. — Chciała jechać z nami i to mi wystarczyło — odparł chłodno Harcourt.

— Ale mnie, nie wystarcza to — warknął kapitan — nie wystarcza wcale! Niech się wynosi natychmiast, razem ze swoim małżonkiem! — i zatarł z zadowolenia swe tłuste ręce. — Ani mi się śni bawić w porywacza kobiet! — A mój patent kapitański? — Mam może ryzykować, żeby mi go cofnięto?!

— Żartuje pan chyba! Wie pan doskonale, że nie ryzykuje pan nic!

— Dość tego — przerwał mu kapitan i zwrócił się do pani Koo: — Won! Zabieraj mi się stąd zaraz — z mężem, skoroś sobie takiego wybrała! — Przestał ci się podobać? Trzeba było nie wychodzić za niego! To już nie pierwsza damulka, co taki kawał wycina przede mną! Zechce się takiej Chińczyka — a potem jak go raz skosztuje — jaśnie pani zaczyna nosem kręcić i robić obrzydzoną... Ciekawość ukarana, moja ślicznotko — samaś winna sobie!

Młoda kobieta zerwała się z klęczek i poczęła mówić prędko, bezładnie. Kładła wszystko na jedną kartę w tej chwili i świadomość tego podniecała ją jeszcze bardziej. Powtarzała to, co opowiedziała nam wpierw, w łodzi. Mówiła słabo po angielsku — mieszała francuskie i angielskie wyrazy — a wszystko to z akcentem takiej rozpaczy, że doprawdy serce rwało się w kawały, słuchając jej. Widziałem, że Harcourt poruszony był tak samo jak ja, do głębi. A kapitan stał, rozkraczony naprzeciwko niej — ręce wcisnął w kieszenie spodni i słuchał rozdzierającej skargi nieszczęsnej kobiety z wyrazem złośliwego rozbawienia, na czerwonej, ordynarnej gębie. Wie-



Tak — wszystko składało się doskonale... gdyby nie ta nieszczęsna lampa!

działem naprzód — i aż za dobrze! — jaki będzie skutek tych błagań i zaklęć, które nam obu litością przenikały dusze.

Pani Koo umilkła wyczerpana. Zapadło milczenie. Milczenie to zdawało się być częścią tej nocy ciepłej, dusznej i wilgotnej. Nigdy nie myślałem że milczenie może być czemś tak ciężkiem. — Widzę, jakby to było dziś, tę niesamowitą grupę, jaką tworzyliśmy w kręgu mdłego światła, które rzucała lampa, stojąca na podłodze, podczas gdy głowy nasze tonęły w cieniu. Przypływ wzmagał się — wzniecał miękki chlupot fali wzdłuż boków statku. Mr. Koo stał poruszony, a przybyli z nim Chińczycy zdawali się być całkowicie obojętni na wszystko, co działo się wokoło. Aż mnie to drażnić zaczynało... Na statku nie było najmniejszego ruchu; załoga pokładła się już na spoczynek.

I widzę ją zawsze w tem nędznem świetle — taką piękną, z temi rudozłotemi błyskami we włosach, drżącą w oczekiwaniu wyroku, który miał zadecydować o jej losie.

— Mr. Koo — odezwał się Harcourt po angielsku — dlaczego chce pan przemocą zatrzymać przy sobie kobietę, która pana nie kocha? — Niechże pan będzie rozsądny!

A Mr. Koo skłonił się i odparł z niesłychaną uprzejmością, że pani Koo należy do niego — że jest jego prawowitą żoną — że wolą jego jest zabrać ją ze sobą — i że w kwestji tej konsulowie będą zmuszeni przyznać mu rację.

— Przepraszam — odrzekł Harcourt — w tej chwili jest pan na obcem terytorjum. Znajdujemy się na angielskim okręcie. Nie ma pan prawa zabierać stąd tej pani wbrew jej woli. Byłby to gwałt, któremu mamy prawo przeszkodzić.

— Pod warunkiem, że ja zgodzę się na obecność tej pani tutaj — wmieszał się kapitan. — Jesteśmy na chińskich wodach. — Stać się współwinnym porwania — nie! — Nic z tego! — Dosyć, moja piękna pani. Postanowiłem i kwita! Jestem przecież po Bogu, jedynym panem na moim statku! — zadrwił na końcu.

— O — zawołał porywczo Harcourt — nie z obawy przed ściągnięciem na siebie niemiłych następstw, odmawia pan — ale poprostu ze złej woli!

Zaczynał już bowiem tracić panowanie nad sobą i rozdrażnienie brało w nim górę. W odpowiedzi na to kapitan rozpętał swój piekielny śmiech.

— Pewnie! — Trafiłeś jak zawsze w sedno, mój chłopcze! Cała ta historja dosyć mi się podoba — a nawet bardzo mi się podoba! — Ta piękna pani będzie musiała dzielić łoże Chińczyka — aż do skończenia wieków... Nic jej nie pomoże! — Ejże! — panie mój zastępco, a może ci wpadła w oko, ta ptaszyna... Tak mi się zdaje. A — to będzie jeszcze lepsza heca! — Aż cię skręca, że Chińczyk zabierze ją ze sobą, co?

I aż trząsł się ze śmiechu. Harcourt pohamował się i tym razem — co może mu być poczytane za wielką zasługę! Ale robił to dla niej...

Tak, dla niej... z miłości do niej. Bo widziałem, że stracił zupełnie głowę dla tej kobiety. Jej piękność — rozpaczliwe jej położenie — tragizm tej chwili... Czuł się jedynym jej opiekunem. — A ja, wie pan, ja także czułem, że tracę powoli głowę... Była taka wzruszająca! A to bierze mężczyznę. Wiedziałem jednak, że muszę usunąć się w cień przed nim. Wiedziałem, że Harcourt miał do niej większe prawa, niż ja. Bo czyż mogłem spodobać się jej — ja, taki jak byłem? Ciężki, niezgrabny — z tym mało lotnym umysłem... A on, taki żywy, subtelny, świetny! Czyż ja potrafiłbym wynaleźć jakiś ratunek dla niej? Wynaleźć i odważyć się nań? — Nie, żebym był tchórzliwego usposobienia — ale z natury jestem niezdecydowany, wahający... Lubię zawsze rozważyć wszystkie za i przeciw. Jestem człowiekiem krótkowzrocznym. Ale on, z tą zadziwiającą szybkością koncentracji myśli i pobrania decyzji — on miał już w tej chwili gotowy plan ratunku dla niej.

— Postanowione! — zawyrokował kapitan. — Chińczyk, zabieraj stąd żonę. Ja jestem za sprawiedliwością: trzeba oddać każdemu, co się komu należy. I nie chcę, żeby mi zakłócano spokój na moim okręcie! — Dalej, ruszajcie — i prędko!

Nie wyobraża pan sobie, jakim wstrętem przejmowało mnie to zimne okrucieństwo. Był to naprawdę zły człowiek — dla którego widok cierpienia bliźnich był najsmaczniejszą ucztą.

(ciąg dalszy nastąpi).

DLACZEGO ALICJA MATUSIAKÓWNA została ulubienicą publiczności?

Odpowiadają kulisy:

INSPICJENT: — Jest to kwestja talentu i umiejętności zdobywania sobie tej sympatji. Proszę mi wierzyć, że wszystko zależy od pierwszej roli, naturalnie nie w życiu, ale na danej scenie. Jeśli los tak zrządzi, że artystka dostanie najodpowiedniejszą dla swego emploi rolę, a dużo ma tu do powiedzenia reżyser, natenczas powodzenie jej występu jest „murowane". I tak właśnie było z p. Matusiakówną. Pod względem artystycznym najwyżej stawiam jej kreację w „Starem winie". W komedjach muzycznych jest niezrównaną, posiadając wszystkie warunki, jakie ten rodzaj widowiska stawia artystce.

ELEKTROTECHNIK: — Mojem zdaniem powodzenie, z którem tu się spotykamy, tkwi w niezwykle łatwem nawiązaniu kontaktu z publicznością, wynikającem z swobody bycia na scenie, wrodzonego talentu i odpowiedniego wżycia się w odtwarzane postacie. Inna artystka wyjdzie na scenę i czuje się na niej mniej swobodnie, ma poprostu tremę, a to mojem zdaniem przyczynia się do niepopularności. Publiczność nie lubi „zgrywania się" i niechętnie odnosi się do tak pojętej sztuki aktorskiej. W tym wypadku nie obserwujemy tych błędów. Widzimy naprawdę same walory.

Poniżej: Jako Basia w „Krakowiakach i Góralach" Bogusławskiego. *Fot. „As".*





Alicja Matusiak-Radulska, artystka teatru im. Słowackiego w Krakowie. *Fot. „As".*

FRYZJER: — Ta artystka posiada niezwykłe bogactwo werwy scenicznej i tem bierze w jassyr serca widzów.



KAPELMISTRZ: — Dla mnie jako muzyka będzie zawsze ciekawym występ artystki dramatycznej w sztuce, która opiera się na śpiewie i tańcu. Dlatego więc przedewszystkiem zwróciłem uwagę na kreacje p. Matusiakównej w „Rozkosznej dziewczynie" i w „Krakowiakach i Góralach". Obie te role „leżą na niej jak ulane", choć każda z nich reprezentuje zgoła odmienny typ. W tem właśnie tkwi talent artystki, którą uważam za bardzo współczesną aktorkę, posiadającą wszystkie warunki, aby być atrakcją w modnym repertuarze. Wyczucie rytmu muzycznego, z którym łączy się idealnie rytmika ciała, sharmonizowanie ruchów i plastyka tańca, sposób operowania głosem, śpiew oparty na dykcji i ekspresji z właściwem oddaniem liryzmu gdzie należy (duet w „Krakowiakach") — oto walory, które przemożnie wpływają na widza i słuchacza.

Odpowiada widownia:

BILETER: — Nic w tem dziwnego, że taka aktorka podoba się publiczności. Jest ładna, dobrze śpiewa i tańczy, a to w dramacie jest przecież rzadkie. W operetce to co innego, ale i tam wielkie talenty nie często się spotyka. Tak, jak od komika wymaga publiczność, by ją rozśmieszał,

(Dokończenie na str. 31-ej).

M. M. DUDREWICZOWA

KORONKI KLOCKOWE

VI



Dla małych dziewczynek robótki klockowe stanowią ulubione zajęcie, wyrabiając również ich zmysł piękna.

Koroneczka z pajączkiem i ząbkiem płóciennym.

W poprzednim numerze przedstawioną była technika wykonania pajączków klockowych z zastosowaniem takiego pajączka na 4 parki do wstaweczki. Do tej wstaweczki podajemy dziś odpowiednią koroneczkę z pajączkiem na 4 parki i ząbkiem płócienkowym.

Przedstawia ją reprodukowany obok schemat rysunkowy i fotografja. Do wykonania takiej koroneczki potrzebujemy 11 par klocków. Zawieszamy je na wzorze wedle schematu: w punktach a—d po 2 pary, w punkcie b 4 pary, a w punktach c—e—i po jednej parze.

Najpierw klockujemy drugą połowę pajączka zupełnie tak samo, jak przy opisywanej w poprzednim numerze wstaweczce. Potem odkładamy z prawej strony dwie pary (nóżki pajączka) do roboty ząbka, a z lewej strony robimy dziurki i brzeg. Prawa parka z punktu —a oraz górna nóżka pajączka tworzy punkt —o. Następnie pary z punktów a—o dają nam punkt —p. Taką samą skośną linją schodzimy, przerabiając drugą nóżkę pajączka, aby stworzyć punkty r—s—t. Para z punktu —t pozostaje do dalszego wykonywania brzegu koronki, parki r—s posłużą do wykonania następnego pajączka. Zanim do niego dojdziemy, klockujemy ząbek.

Zaczynamy od punktu —d, gdzie wiszą dwie parki. Przerabiamy na lewo wszystkie parki i wbijamy szpilkę w punkt —c, tuż obok wbitej już szpilki. Wracamy na prawo, klockując do —g. Tutaj pamiętać należy, że przed punktami g—h—i robimy mereżkę. Wracamy z punktu —g na lewo, klockując gładkie płócienko. Na końcu dobieramy górną nóżkę pajączka, skręconą 4 razy i tworzymy punkt —j. Stąd klockujemy na prawo do punktu —h, potem na lewo do —l, gdzie przybieramy 4 razy skręconą drugą nóżkę pajączka, tworząc punkt —l. Po szpilce przerobienie i odkłada się lewą parkę do roboty nowego pajączka. Z punktu —l wracamy klockując do punktu —i, potem na lewo do —ł. I tutaj pozostawiamy po przerobieniu lewą parkę dla pajączka i kończymy ząbek, klockując jeszcze punkt —n i na lewo punkt —m.

Z punktu —m, gdzie nie zostawiamy żadnej parki, wracamy na prawo, przerabiając płócienko do punktu —u. Przed tym punktem robi się znowu

Pomiędzy punktami n—m jest mało miejsca, nie robimy więc mereżki. Przerabiając w tem miejscu płócienko, ściągamy mocno i ciasno wszystkie parki, ściągając parki w dół a parkę przerabiającą w bok.

Parkę, biegnącą brzegiem ząbka, kręci się zawsze dwa razy, tak samo jak parkę, biegnącą z drugiej strony brzegiem koroneczki. Skrajną parkę przy ząbku i skrajną parkę przy dziurkach odkładamy po przerobieniu na tył poduszki, aby brzegi mocno się wyciągały.

mereżka. Począwszy od niego, zaczynamy po zrobieniu pajączka nowy ząbek.

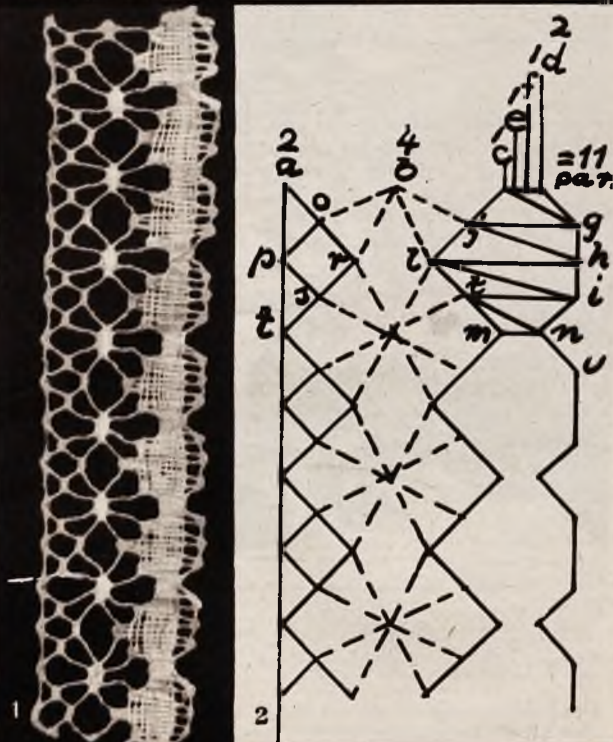
W punkcie —n najlepiej wbijać większą kolorową szpilkę, by dobrze sobie zaznaczyć, że w tym punkcie łączą się z sobą dwa sąsiednie ząbki. Narazie pozostawiamy prawą stronę w spokoju. Mamy początek koroneczki, złożony z wstępnego pajączka, dziurek i ząbka. Dalszy ciąg roboty, to cały pajączek. Robimy go tak samo, jak podane było szczegółowo w poprzednim numerze przy opisie roboty wstaweczki z pajączkiem. (C. d. n.).



Sarny wykonane techniką klockową zapomocą płócienka, siekanki i warkoczyków klockowych.

Poniżej: Kwadrat klockowy ze stylizowanym liściem wykonanym w połowie płócienkiem, w połowie zaś siekanką.





Na prawo: I) Koronka z pajączkiem o 4-ch parkach, z ząbkiem płócienkowym. — II) Schemat koronki z pajączkiem i ząbkiem płócienkowym na 11 parek; w tem pajączek na 4-ry parki.

ŻYCIE
TOWARZYSKIE I ARTYSTYCZNE

JAN WIKTOR LAUREATEM MIASTA KRAKOWA



Ostatnio wybitny autor krakowski Jan Wiktor otrzymał nagrodę literacką miasta Krakowa za swoją pracę „Orka na ugorze". Jak jednomyślnie stwierdzają krytycy, dzieło Wiktora należy do książek, omawiających najlepiej życiowe zagadnienia naszej wsi. Na zdjęciu moment wręczania nagrody laureatowi przez prezydenta miasta Krakowa dra Mieczysława Kaplickiego w gabinecie Magistratu.

Z SCENY POZNAŃSKIEJ



Teatr Polski w Poznaniu wystawił udaną komedję Bus-Feketego „Z miłości niedostatecznie". Wiele ciekawych momentów psychologicznych, żywa akcja i nader aktualny temat, jak również dobra gra artystów złożyły się na pełny sukces tej sztuki. Na zdjęciu scena z I aktu z (od lewej) pp. Zasadzianką, Porębską i Łabuńską w rolach trzech przyjaciółek.

SUKCES RADJOWY MILI LEVOVEJ



Do najbardziej udanych audycyj wokalnych Polskiego Radja należy w ostatnich czasach występ p. Mili Levovej, zdolnej śpiewaczki jugosłowiańskiej. P. Levova, pochodząca z Sarajewa, odbyła studja muzyczne w Wiedniu, następnie zaś występowała z koncertami w Austrji, Bułgarji, Czechosłowacji oraz w rodzinnej Jugosławji, gdzie zaangażowana była w Operze królewskiej w Belgradzie. Słuchaczy polskich zaznajomiła p. Levova z jugosłowiańskiemi pieśniami narodowemi, kompozycjami Dugana, Bersego, Milojewica, Kristića i innych.

Z PARYSKIEGO KONKURSU TANCA

Poniżej: Wielkie zainteresowanie wzbudził w sferach artystycznych Paryża konkurs tańca, urządzony w Narodowem Konserwatorjum Muzycznem. Laureatkami konkursu zostały: p. Thurston (po lewej) oraz p. Vallieres, które odznaczone zostały nagrodą tańca.



CHRZEST PRZYSZŁEGO MILJARDERA

Poniżej: Jak wiadomo, dziedziczka olbrzymiej fortuny Wooltworthów, Barbara Hutton 1-voto ks. Mdivani wyszła rok temu zamąż za duńskiego arystokratę hr. Haugwitz-Reventlow. Ostatnio odbył się w Londynie chrzest synka hr. Haugwitz. Na zdjęciu młoda matka z przyszłym dziedzicem fortuny, w otoczeniu ojca mr. Hutton (po lewej) oraz męża. *Keystone — Berlin.*



W e wszystkich krajach zachodniej Europy, jakoteż i w Ameryce, gdzie samochód nie jest przedmiotem zbytku i służy każdemu przeciętnemu obywatelowi do wszelakiej lokomocji, coraz bardziej powszechnym staje się przemiły a zdrowy w skutkach zwyczaj spędzania końca tygodnia zdała od wielkomiejskiego życia i jego rozgwaru. Charakter tego ruchu staje się coraz bardziej żywiołowy, obejmując w swym zasięgu coraz liczniejszych zwolenników i entuzjastów i to nietylko wśród elity najzamożniejszych, ale także mniej od fortuny uposażonych „mieszczuchów".

Widok wspaniałych szos, wiodących z miast i do miast, tam na szczęśliwym Zachodzie, przedstawia we wszystkie soboty popołudniu i niedzielne wieczory niezwykłe dla nas zjawisko. Oto ruch automobilowy wzrasta do niebywałych rozmiarów i niemal może konkurować z nasileniem wielkomiejskiem. To sznury samochodów i motocykli mkną ku wszystkim okolicznym



Samochód z przyczepionym domkiem week-endowym wybiera się w podróż.

SAMOCHODOWE DOMKI WEEK-END'OWE



Domek week-endowy, zaopatrzony jest również w kuchenkę, będącą równocześnie spiżarnią i lodownią.

Wszystkie zdjęcia WIDE-WORLD PHOTOS, LONDYN

Po prawej: Oto fragment sypialni w domku week-endowym z łóżkiem-tapczanem.



bliższym i dalszym „punktom wypadowym", do ustronnych oaz wytchnienia i ciszy.

Najstarszą tradycję tego systemu odpoczynku niedzielnego ma za sobą Anglja. W stolicy Anglik zamieszkuje umyślnie dość daleko od miejsc swej pracy zawodowej i śródmieścia, gdzie mieszczą się na wielu ulicach jedynie „office'y", a już nie do pomyślenia byłaby kumulacja — jakże dla nas wygodna w pomyśle — biura i mieszkania prywatnego razem. Do mieszkań nie dochodzą głosy pracy, one są przeznaczone jedynie na życie prywatne. A pomimo swoistych mieszczańskich wygód, jakie je cechują, mieszkańcy Londynu „uciekają" od nich, spędzając koniec tygodnia w bliższych Brighton, Dover, Chichester czy też w wielu innych punktach weekend'owych, jak np. Blackpool na wybrzeżu zachodniem.

Wyjeżdżając z domu na półtora dnia zabiera się odpowiednie zapasy pożywienia przystosowanego do normalnego trybu życia, przyczem nikt nie stara się odmawiać sobie ulubionych przysmaków, a miejsce dla nich w specjalnych kufrach żywnościowych jest zawsze zarezerwowane. Dla przysmaków, przysmaczków i ulubionych napoi.

Kwestja pomieszczenia się na week-end zie i wygodnego przenocowania jest naturalnie przewidziana organizacją dotyczących miejscowości. Specjalne domki week'endowe można najmować zgóry na cały dany sezon, lub na poszczególne terminy. Kogo nie stać na domek wynajmuje pokoje czy też tylko noclegi, a nie brak w nich niczego, co stanowi minimum wygód przyzwyczajonego do nich w swej klasie zamożności syna Albionu.

Dalej jeszcze idzie naturalnie przodująca we wszystkich dziedzinach techniki samochodowej, Ameryka. Tam nietylko wyjeżdża się na bardzo dalekie nawet week-endy, ale, chcąc sobie pozostawić całkowitą swobodę ruchu i wyboru miejsc chwilowego pobytu, stworzono typy lekkich przenośnych domków weekend'owych, które sprzęga się z wytwornym Packardem lub Lincolnem, czy też mniej luksusowym Fordem i wyrusza w prawdziwą podróż w nieznane... niby ślimak, noszący na sobie swą skorupkę.

Jak taki domek wygląda, ocenić można z reprodukowanych obok zdjęć, które przedstawiają jeden z najnowszych typów tego rodzaju, systemu Williama B. Stout'a. Jest to domek rozsuwalny o długości około 5 m i szerokości 2-metrowej. Sprzągnięty z samochodem porusza się na niziutkich kołach, robiąc wrażenie nieco humorystyczne, jak gdyby zmodernizowanej budy cyrkowej. Wytworny kolor, dostosowany do samochodu, który domek wiezie, czyni jednak te porównania bardzo dalekiemi. Półokrągły wykusz na samym froncie domku zamienia się po ustawieniu go i rozsunięciu w rodzaj werandy.

Przyjeżdżamy na miejsce postoju. Bez wielkiego trudu podnosi się domek na śrubowych dźwignikach, znanych dobrze każdemu automobiliście jako przyrządów, niezbędnych przy naprawie wymagającej podnoszenia wozu. Ściany domku rozsuwa się i powstają wewnątrz trzy wygodne ubikacje, z oknami i wyposażeniem wnętrz w najkonieczniejsze utensylja domowe.

Jest więc sypialnia z tapczanem i półkami, jadalnia ze stolikami i krzesełkami, a także i kuchnia, która choć miniaturowa, zawiera pomieszczenie większej ilości zapasów, przechowywanych w małej lodowni i dających się odpowiednio przygotowywać i przygrzewać przy pomocy kuchenki gazowej. Gaz zabiera się w niewielkim zbiorniku, który można, równie jak benzynę czy smary samochodowe, uzupełniać na stacjach benzynowych.

Ileż przyjemności gotuje takie auto z domkiem swemu właścicielowi! Zimą wiezie go w górskie okolice na narty, latem umożliwia spędzanie czasu nad morzem lub w lesistych, zapachem żywicy przepojonych okolicach, które taki zbawienny wpływ wywierają na zadymione i zakurzone płuca mieszkańców miast.

Cała rodzina, złożona z kilku osób, wyruszyć może spokojnie takim najnowszym przenośnym hotelikiem, by targane coraz szybszem tempem życia nerwy, koić obcowaniem z przyrodą, wypoczynkiem na łonie natury, szerokim oddechem w wolnych przestrzeniach, pozbawionych wielkomiejskich wyziewów. Wszyscy domownicy mają sobie poruczone stałe czynności pomocnicze, tak, że wyjazdy te są prawdziwą rozrywką dla członków rodziny.

Widząc ten rozmach życiowy i tak daleko idące udogodnienia amerykańskie, nie można oprzeć się uczuciom podziwu i głębokiemu westchnieniu: kiedyż i my zrównamy się w tych i innych dziedzinach z poziomem życia ludzi, umiejących wprowadzać w czyn zaspakajanie potrzeb prawdziwie nowoczesnego człowieka?... **DO X.**

Dzień PIĘKNEJ PANI nad brzegiem morza

Kto szuka wypoczynku w zaciszu spokojnej, zagubionej przed oczyma świata wiejskiej krainie, temu na czas urlopu letniego obojętne są nakazy savoir vivre'u, obowiązki towarzyskie i cały pokost, usztywniających nas rozlicznych konieczności, omotujących życie przeciętnego kulturalnego członka społeczności ludzkiej. Dobrze takiemu w obcowaniu z kilkoma najbliższemi osobami o tem samem odnoszeniu się do spraw życiowych. Dobrze w zetknięciu z naturą, która daje nieskończone radości w obserwowaniu, jak wedle jej prawiecznych praw, idą kolejno wszystkie fazy życia, od najdrobniejszej trawki, do huczących czasami na pochmurnym nieboskłonie grzmotów i piorunów.

Ale pora letniego wypoczynku ciągnie nas w różne strony. Czasami jest to właśnie tęsknota do wykwintnego życia w kulturalnych uzdrowiskach, gdzie komfort i wygody oddane do dyspozycji na czas wypoczynkowi przeznaczony, do tego stopnia kojąco działają na zmęczone nerwy, że powraca się z takiej kuracji odświeżonym, odrodzonym i bardzo wypoczętym, na długie miesiące nowej pracy.

Innym razem woła nas niepowstrzymanie dal morska...



Powyżej: Pełna wytwornej prostoty sukienka z białej siatki, może być noszona przy kolacji w domu lub na mieście.



Powyżej: Młodociany ubiór plażowy. Do trykocika sukienka z trykotanu i żakiecik w kolorze silnie różowym.

Poniżej: Wieczorowa sukienka koronkowa młodociana i pełna uroku. Dookoła spódniczki biegną falbanki, z tyłu od linji pasa spływa zwój koronkowy.





Powyżej: Żakiecik do kostjumu plażowego wygląda nieco... humorystycznie, gdy jest noszony na samym trykocie kąpielowym

Oderwani i oddaleni w czasie, przestrzeni i myśli od wszystkiego, co ciężarem trosk spada na codzienne bytowanie mieszkańców miast, zamkniętych w dusznych kamienicach, pozbawionych powiewu ożywczych prądów powietrznych, jakże bezmiernie rozkosznie czujemy się w pobliżu morza, gdy chłodzący jego wiatr przynosi krzepiący zapach wody i przestrzeni, przeczucia dalekich przygód i nieznanych światów, z którymi najbliższe połączenie — to te bezmiary, toczących, hen w dal, swe fale wód...

Spędziwszy wiele miesięcy letnich nad polskim Bałtykiem, wracam ku niemu co rocznie stęsknioną myślą, ilekroć rozpalone asfalty i kamienice świadczą nieomylnie gryzącą płuca suchością powietrza, że to najwyższy czas szukać ożywczego chłodu jego zieleniejących fal.

Wspomnieniem chłonę w siebie ten ogrom wód, powietrza i nieba. Czuję nawet przez oddalenie lat, ożywcze działanie suggestji morza.

Morze, błogosławione morze!

— — — — — — — — —

Gdy piękna pani wybiera z pośród innych

(Dokończenie na str. 31).

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA MALINOWA (KALTESZAL). Litr leśnych malin przetrzeć przez sito, przelewając pół litrem wody, dodać skórki cytrynowej i cukru w miarę potrzeby i zagotować. Osobno ugotować 4 dkg saga na gęstą, przejrzystą masę, zmieszać z sokiem malinowym, kieliszkiem wina i troszką soku cytrynowego, który przywraca zupie piękny kolor malinowy, zagotować raz jeszcze, wystudzić, następnie postawić na lodzie. Przed podaniem wrzuca się do zupy garstkę wybranych świeżych malin.

CHŁODZĄCY NAPÓJ Z MALIN I CZEKOLADY. Ośm łyżek soku malinowego pół litra ugotowanej i wystudzonej gęstej czekolady, sok z 2 cytryn, cukru wedle upodobania, miesza się a raczej ubija z pół litrem zimnego mleka, nalewa do szklaneczek i zastudza na lodzie.

RAGOUT Z OGÓRKÓW I POMIDORÓW. Średniej wielkości ogórek olupany kraje się w drobną kostkę i zalewa osoloną wodą. W międzyczasie dusi się 3—4 pomidorów, przeciera je do ryneczki, wkłada odcedzone z wody ogórki, przykrywa i dusi do miękkości. Wkońcu dodaje się jasną zasmażkę z łyżki masła i mąki, przyprawia smak solą, cukrem i sokiem cytrynowym i podaje w raucie z ryżu lub makaronu.

KALAFJOR Z RYŻEM. 15 dkg ryżu ugotować na sypko z dodatkiem masła; ugotowany również większy kalafjor rozebrać na kilka części, wymieszać lekko z ryżem, ułożyć na ogniotrwałej salaterce, oblać gęstym beszamelem, sporządzonym z łyżki masła, mąki i mleka, posypać parmezanem i zapiec w piecyku.

Ta sama potrawa może być kombinowana z fasolką szparagową lub zielonym groszkiem.

RÓŻNE NOWE SPOSOBY PRZYPRAWY KURCZĄT. (Podajemy na prośbę kilku Czytelniczek).

KURCZĘTA NA SPOSÓB AMERYKAŃSKI. Parę tłustych kurcząt oczyścić zewnątrz i wewnątrz dokładnie, odciąć skrzydełka i karczki przepołowić każde, natrzeć połówki solą i oliwą. Po godzinie układa się kurczęta mięsną stroną na ruszcie i opieka szybko na ogniu. (W braku urządzenia rusztowego można opiekać na patelni). Opieczone połówki kurcząt macza się w mieszaninie, sporządzonej z łyżki musztardy, łyżki oliwy i buljonu, osypuje mąką i dopieka na brytwance w piecyku. Przed podaniem na stół polewa się świeżem, roztopionem, gorącem masłem. Ryż lub ziemniaczki jako dodatek.

KURCZĘTA W ŚWIEŻYCH GRZYBKACH. Oczyszczone i podzielone, jak wyżej, kurczaki naciera się solą i papryką, opieka na rozpalonem maśle i dusi następnie pod pokrywą. Podróbka gotuje się osobno, a rosołkiem z nich oblewa się kurczaki. 20—30 dkg grzybków dusi się na maśle z cebulką. Miękkie połówki kurcząt układa się na półmisku, ubiera zieloną pietruszką, grzybki przyprawione zasmażką na gęsto, kładzie się po boku mięsa. Sos z pod kurcząt podprawia się śmietaną z łyżeczką mąki i podaje osobno w sosjerce. Ryż lub kaszka jako dodatek.

POTRAWKA Z KURCZĄT Z RAKAMI. Udusić przygotowane, jak poprzednio kurczaki, w sosie rakowym, zrobionym na rosole z podróbek, wedle przepisu podawanego w jednym z poprzednich numerów „Asa". Następnie układa się kurczęta na półmisku, garniruje pociętemi gotowanemi szparagami, groszkiem itp. Polać na półmisku sosem rakowym, obłożyć nadzianemi skorupkami i szyjkami raków. Oddzielnie podać ryż lub też zrobiwszy rant z ryżu, włożyć do środka potrawy.

SOK MALINOWY NIE FERMENTOWANY. (Dla p. M. Z. Lwów) Garnek kamienny lub nowy emaljowany napełnić przebranemi malinami (lub poziomkami) i zalać **wrzącą wodą do przykrycia.** Pozostawić do dnia następnego na piecu w kuchni, poczem przecedza się płyn przez płótno, lekko tylko wyciskając. Na litr soku bierze się 1 kg cukru i gotuje po zupełnem rozpłynięciu się cukru w soku przez 20 minut, licząc od chwili zagotowania, przyczem należy pilnie zbierać piany. Przy końcu dodaje się łyżeczkę kwasku cytrynowego, zlewa się do flaszek, korkuje, zawija w ciepłe (wełniane) szale lub chustki i zostawia tak 12—15 godzin, poczem się flaszki lakuje lub zalewa lakiem, i odstawia w suche miejsce. Sok taki ma piękny kolor rubinowy i aromat świeżych malin.

KOMPOT Z RÓŻNYCH OWOCÓW bez „weckowania" sporządza się w łatwy sposób z małym dodatkiem spirytusu. Np. na 5 dkg owocu zagotowuje się 1 kg cukru w litrze wody. Na gotujący syrop rzuca się po trosze owoce, gotuje wolno 5 minut, zbiera dziurkowaną łyżką do słoja, rzuca nową partję owocu itd. aż wszystek owoc się zagotuje. Do pozostałego syropu dosypuje się łyżeczkę salicylu i dolewa 1/4 l spirytusu, zagotowuje i wlewa syrop na owoce do słoja. W miarę pojawiania się nowych owoców można je gotowane w powyższy sposób dokładać do dawnych. Słój należy owiązać pergaminem i przechowywać sucho i chłodno. Konserwa przechowuje się doskonale.

Szyc.-Korska.

AS KUPON konkursu na najnieprawdopodobniejsze głupstwo

SMAKOWITY PLACEK Z CZEREŚNI



Oto laureatka amerykańskiego konkursu miss Corneille Linhard z miejscowości Lohman, Monada, która upiekła najsmaczniejszy placek z czereśni. Oto przepis: uciera się 8 żółtek z 12 dkg cukru z wanilją, dodaje łyżkę masła, szklankę tartej bułki, namoczonej szklanką mleka, pianę z 8 białek i funt drylowanych czereśni lub wiśni. Upiec w formie, wysmarowanej masłem i wysypanej tartą bułką.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 30 — **Lipiec** — Dni 31
Niedziela **19** Wincentego	Zupa malinowa. Omlet z grzybkami. Pieczona gąska z duszoną kapustą i ziemniaczkami. Lody śmietankowe domowe z waflami. Kolacja: Zimna gąska lub rizotto z podróbek
Poniedziałek **20** Czesława	Zupa kalafiorowa z grzankami. Ragout z pomidorów i ogórków. Zraziki naturalne z kaparkami. Pierożki z czarnemi jagodami i śmietaną. Kolacja: Kalafior z ryżem.
Wtorek **21** Praksedy	Zupa z zielonego groszku z płatkami. Kurczęta w pomidorach z makaronem. Marchewka z groszkiem. Kompot mieszany. Kolacja: Kapusta faszerowana.
Środa **22** Marii Magdal.	Zupa z jarzyn na śmietanie. Gołąbki z ryżem. Pieczeń cielęca zwijana z sałatą, ziemniaczkami i pomidorami z groszkiem. Kruchy placek z pianką morelową. Kolacja: Wątróbki gęsie z kaszą tatarczaną.
Czwartek **23** Apolinarego b.	Sałatka z surowych jarzyn w miejsce zupy. Włoski makaron zapiekany z pomidorami. Siekane kotlety cielęce z mizerją i ziemniaczkami. Kompot z mieszanych owoców. Kolacja: Omlety z szynką.
Piątek **24** Krystyny	Chłodnik litewski. Fasolka szparagowa w śmietanowym sosie. Ryba marynowana. Strudel z borówkami. Kolacja: Jaja sadzone z pomidorami.
Sobota **25** Jakóba Ap.	Zupa ogórkowa z ziemniaczkami. Kalarepka faszerowana. Polędwica z rożna z jarzynami. Krem ryżowy z konfiturami. Kolacja: Grzybki w śmietanie.

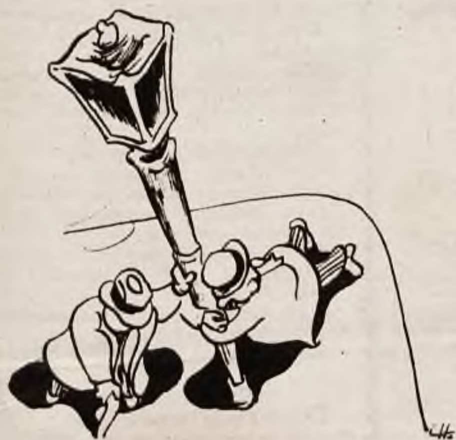
HOCKI-KLOCKI

WISŁĄ DO MORZA.



— Możebyś się jeszcze spytał kogo, czy płyniemy w właściwym kierunku...

W POSZUKIWANIU OPARCIA.



— Czasy są n...niepewne, jedynie alkohol utrzymuje n...nas w stanie równowagi...

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

PIĘĆ KART.

Pięć kart o wartościach 1, 3, 5, 7 i 9 należy ułożyć w ten sposób, aby liczba utworzona przez pierwsze dwie, pomnożona przez dwie ostatnie, dałą — po odjęciu cyfry środkowej — liczbę składającą się z pięciu powtórzeń tej samej dowolnej cyfry. Jeślibyśmy naprzykład ułożyli karty w porządku 31 5 79, wówczas 31 pomnożone przez 79, dałoby — po odjęciu — 5.2444 — co mogłoby być rozwiązaniem zadania, gdyby na miejscu 2 stało 4.

NIEDROGI ZEGAREK.

Pan Ptaszek jest właścicielem pięknego i niedrogiego zegarka, który chodzi doskonale, jeśli się go dwa razy dziennie do końca nakręca. Pan Ptaszek jest bardzo systematyczny i nakręca swój zegarek regularnie, raz o godzinie 7.30 rano i drugi raz, kładąc się spać. Rano do zupełnego nakręcenia sprężyny wystarcza 8 pełnych obrotów śrubki, wieczorem trzeba ich zrobić dwanaście.

O której pan Ptaszek kładzie się spać?

HODOWLA DROBIU.

Gosposia miała kilka klatek z drobiem, ustawionych w dwa rzędy. W jednym rzędzie stały klatki, opatrzone numerami parzystemi (2, 4 itd.) i w tych mieściły się kury, w drugim rzędzie stały klatki nieparzyste z kaczkami. W klatkach 1-szej i 2-giej było po tyle sztuk drobiu, ile było wszystkich klatek, w każdej zaś następnej było tyle sztuk ptactwa, co w poprzedniej w danym rzędzie, plus tyle, ile wynosił numer danej klatki. Ile było sztuk drobiu, jeśli kaczek było w sumie o tyle mniej od kur, ile było kur, a ilość klatek parzystych równa była ilości klatek nieparzystych.

KŁOPOTLIWY ZAPIS.

Pan Bartłomiej, umierając ,zapisał trzem swoim synom: Teofilowi, Wincentemu i Walentemu, 100 włók ziemi w stosunku jednej trzeciej do jednej czwartej, do jednej piątej. Ale Walenty umarł przed dokonaniem podziału gruntu. W jakim stosunku winni podzielić między sobą majątek pan Teofil i pan Wincenty, aby spełnić wolę zmarłego ojca?

(Dokończenie ze str. 25)

tak od amantki oczekuje silnego chwytu za serce. Jeśli dostaje to, czego pragnie, to czyż można się dziwić, że gorąco oklaskuje swą ulubienicę?

WIDZ I *(Profesor uniwersytetu):* — Lubię urodę i temperament na scenie, ale podane z umiarem i kulturą, a to właśnie obserwuję w grze p. Matusiakówne], którą ponadto cechuje talent i inteligencja.

WIDZ II *(Malarka):* — Siedząc w kinie, przyglądam się aktorkom, by je potem w życiu naśladować. Na scenie rzadko kiedy znaleść można taki „ideał", ale jak już się trafi, to dopiero wtedy widzi go się „na własne oczy"; trudno artystce w takich warunkach coś ukryć przed publicznością. Za bliski jest kontakt. Jeśli więc wówczas każdy szczegół wypada dodatnio, aktorka musi zdobyć sympatję widowni.

WIDZ III *(Adwokat):* — „Życie nie jest romansem" — również i na scenie; z tego zdaje sobie sprawę każdy, tylko nie widz teatralny. Bo publiczność pragnie, by w momencie, gdy zgasną światła, artyści wprowadzili ją w krainę baśni, w której prześni ona najpiękniejszy sen zdala od szarzyzny codziennego życia. Komu powiedzie się być w tej podróży najlepszym ciceronem, ten włada potem widownią. Jeśli jest to artystka — staje się ulubienicą publiczności.

Artystka o sobie:

Kocham teatr i najlepiej czuję się na deskach scenicznych. Może więc dlatego gra moja oddziaływa korzystnie na widownie. Już jako bardzo młoda dziewczynka uczyłam się w domu tańca i śpiewu, w czem pomagała mi matka, która zawsze była sprzymierzeńcem mej scenicznej karjery. Jako warunek postawiono mi w domu ukończenie gimnazjum, co też rzeczywiście się stało, a nawet więcej, bo przez dwa lata studjowałam prawo na uniwersytecie. Ukończywszy szkołę dramatyczną pod kierunkiem Zelwerowicza, otrzymałam kilka propozycyj na engagement, a to z Warszawy, Wilna i ze Lwowa. Wybrałam Lwów, gdzie zarówno sam teatr, jak i publiczność dała mi możność zakosztowania artystycznego powodzenia. Nie staram się robić nic specjalnego, by zyskać sympatję widowni, nic, coby wykraczało poza ramy prawdziwej gry aktorskiej. Jeśli mi się to udaje, to chyba dlatego, że dążę zawsze do zachowania prostoty i naturalności na scenie, pragnę dać siebie taką, jaką rzeczywiście jestem. Dlaczego zostałam ulubienicą publiczności? — tego doprawdy nie wiem! Może dlatego, że kochając wszystko, co związane jest z teatrem, kocham i tych, którzy z widowni żywo reagują na me sceniczne przeżycia. Byłby to więc bardzo dla mnie drogi rewanż ze strony publiczności.

J. L.

(Dokończenie ze str. 29).

nęcących propozycji letni pobyt nad morzem, może być przekonana, że powróci odmłodzona, z nowemi zapasami energji, sił żywotnych i tężyzny fizycznej.

Ale nie można nad morzem szukać bezwzględnej samotności. Zbyt duży jest ruch turystyczny nad morzem, zbyt krótki czas, jaki nadaje się do pobytu nad chłodnemi wodami Bałtyku. Więc godzimy się zgóry na ciężary życia towarzyskiego i zabieramy z domu właściwy ekwipunek.

Cóż więc dyktuje moda?

Przedewszystkiem wytycza ona ogólne linje charakteru mody plażowej, która ma być kobieca, wytwornie skromna i praktycznie wygodna. Na trykot kąpielowy — sukienka plażowa z modnego trykotanu, złożona ze spódniczki dość długiej i kamizelki lub żakieciku z rękawami. Do tego cape, który w czasie wiatru otulić może całą postać. Wykonany z wełny, przetykanej metalową nitką lub z celofanu, daje kilka odmian, które całkowicie zmieniają sylwetkę pani na plaży. Jeżeli sukienka plażowa wykonana jest z trykotanu, tkanego z metalową nitką, a celofanowy cape, mieniący się w słońcu, odbija intensywnie połyski metalowych nitek, to wrażenie całości jest wręcz prześliczne. Moda chciała zrobić swym wyznawczyniom dar z rusałczanego stroju i udało się jej to znakomicie. A któraż z pań nie chciałaby być bodaj latem na plaży — wdzięczną rusałką?...

W południe idzie pani na obiad we wzorzystej sukience imprimée lub też całkiem na biało. Duży kapelusz słomkowy lub z organdi rzuca delikatny cień na opalone zdrowo policzki. To już nie rusałka. To świadoma swych wdzięków kobieta, stawiającą dumnie czoło nawet życiowym burzom.

Wieczorem obowiązują długie do kostek suknie. Czy będą to proste sukienki do kasyna czy restauracji, czy też tualety dancingowe, długość ta jest obowiązująca. Suknie wieczorowe silnie dekoltują plecy, odsłaniają ramiona, połyskują mieniącemi taftami, drżą i powiewają w tańcu lekkiemi koronkami, które tak się tego lata faworyzuje, wreszcie opływają postacie pięknych pań niby morskie piany, w których rozkoszowały się przez cały dzień. To delikatne w barwie organdi z wolantami, riuszkami, bufkami i wszystkiemi detalami stanowią jak najbardziej kobiece cechy stroju. Piękna pani uwielbia ten styl. Czuje się tak najlepiej. Jest sobą. Jest kobietą, otuloną mgłami szat i mgłami otaczających ją zachwytów. Odsunęła daleko od siebie tak jeszcze niedawne chłopięce cechy figury i stroju. Puszyste włosy trwałej ondulacji układają się w kapryśne loczki wokół czoła czy nad pięknie toczonym karczkiem. Dostrajają się do nich łabędzie ruchy szyji i rąk, miękki i łagodny chód i dystynkcja w trzymaniu głowy.

Nad morzem czerpie piękna pani tę młodzieńczą werwę, jaka cechuje jej pojawienie się w towarzystwie. Tam hartuje swe mięśnie i nerwy i uczy się w zetknięciu z ogromem wód, jak małemi są czysto ludzkie sprawy, nad rozwikłaniem których traci się nieraz niepotrzebnie tyle sił... Jednym podskokiem pozwala unieść się zbliżającej fali i już wypływa na gładką toń. Często można i w życiu stosować takie metody. Okażą się niejednokrotnie lepsze od głębokich roztrząsań męczących nas słabostek ludzkich. Lepiej przepłynąć ponad niemi i zatrzymywać s i ę m y ś l ą n a d k r z e p i ą c e m i ducha zdrowemi i pięknemi przejawami życia.

Warto powrócić z nad morza z zapasami takiej swoistej filozofji życia. Przychodzi ona ku nam poprostu sama. Niepowołana—nieproszona. Jest w tchnieniu szerokich przestrzeni, ku którym zrywa się lepsza cząstka naszej natury. Tylko umiejmy jej słuchać. Zaoszczędzimy nerwów, szarpanych niejednokrotnie bez potrzeby. Nowoczesna pani niechaj wie, że zdrowe nerwy to połowa jej urody, więc niech korzysta ile się tylko da w tym kierunku z nadmorskiej atmosfery.

Mewa.

NA SCENIE.

W sali „Cyrulika Warszawskiego" w czasie nieobecności zespołu Jarossy'ego goścl **Hanka Ordonówna**, która na okres letni montowała w Warszawie rewję pt.: **„Frontem do radości"**, jak stwierdza powszechnie krytyka zupełnie dobrą, niewiele ustępującą niektórym programom Cyrulika. — Hanka Ordonówna znakomicie wykonuje swoje punkty programu. Wszyscy podziwiają jej niesłabnący temperament, który coraz częściej na scenie wyżywa się w tańcu, jakim uzupełnia interpretacje piosenek.

Obok Hanki Ordonówny pierwsze skrzypce grają w programie Lopek Krukowski, wykonawca świetnego „Przeglądu radjowego", oraz Igo Sym. Krukowski wygłasza dobrą satyrę p. t. „Surowe życie", związaną z ostatniemi wypadkami politycznemi. — Zdaniem tej satyry ludność na wsi realizuje surowe życie następująco:

„Chłop chwycił za kłonicę
Szampana przestał pić,
Nie jeździ za granicę,
S u r o w o zaczął żyć.

Znana z krakowskich programów miła piosenka ciętej satyry politycznej „Dzień dobry panie Dłutko — co słychać panie Be?", w wykonaniu Lawińskiego i Sulimy Jaszczołta i w Warszawie cieszy się dużem powodzeniem.

Na zakończenie sezonu dramatycznego teatr im. **J. Słowackiego w Krakowie**, wystawił komedję niemieckiego pisarza Ebermeyera **„Trochę słońca dla Renaty"**, która spotkała się z przychylną życzliwością publiczności. Główne role w tej komedji grają: Starkówna, M. Węgrzyn, Kondrat, Staszewski, Macherski i Woźnik. **(b.)**

NOWE KSIĄŻKI.

Dużą i zasłużoną poczytnością cieszy się książka wybitnego, młodego publicysty Ksawerego Pruszyńskiego p. t. **„Palestyna po raz trzeci"** (Nakł. Roju). Jest to zbiór wrażeń kilkutygodniowej podróży po Palestynie, w czasie której autor chciał zbliska poznać emigrację żydowską. Przewędrował Pruszyński całą Palestynę, zwiedził wszystko co było ciekawego do obejrzenia, przeprowadził wiele rozmów z najwybitniejszymi osobistościami emigracji i ruchu syjonistycznego, oraz z osobami prywatnemi, a zarówno własne przeżycia, jak i zebrany materjał informacyjny, pozwoliły mu na wyrobienie sobie dokładnego i ciekawego poglądu na obecną Palestynę i jej życie. Książka ta samą swą aktualnością zaleca się czytelnikom, a dodać należy, że jak wszystkie prace publicystyczne Pruszyńskiego pisana jest dobrym językem, żywo, z dużą bezpośredniością i barwnością.

Niedawno na półkach księgarskich ukazała się książka, która zainteresuje kulturalne koła, a poświęcona jest zmarłemu przed dwoma laty znakomitemu historykowi literatury i etnografowi **Henrykowi Biegeleisenowi**. Książkę te opracowali W. Barbasz, J. Gajek, St. Łempicki, Jan Muszkowski, a przedmowę napisał Juljusz Kleiner. Dorobek imponujący niestrudzonego uczonego, jakim był Biegeleisen, najlepiej charakteryzują słowa przedmowy Kleinera:

„Jednemu z budowniczych kultury polskiej, książka niniejsza stawia pomnik, nie ze słów pochwalnych złożony, lecz z uszeregowania imponującej ilości zdobyczy naukowych, które przez pół wieku zgórą gromadził niezmordowanie jego pracowity, skrzętny, zapobiegliwy żywot badacza, wydawcy popularyzatora, nauczyciela".

Z kart tej książki wydanej przez **Zakład Narodowy im. Ossolińskich** we Lwowie, wyłania się piękna postać uczonego, dla którego „nagrodą ogromnej, do dni ostatnich nieprzerwanej pracy — jedyną i wystarczającą — była sama praca". **(b).**

To warto poznać...

SZKOŁA MALARSKA PROF. TERLECKIEGO.

Bez subwencji państwowych i miejskich, własną pracą i kosztem prowadzi już 7 rok swą prywatną szkołę Sztuk Pięknych, jedyną w Krakowie, znany artysta malarz i pedagog dyr. Alfred Terlecki.

Prowadzona przez niego chlubnie Szkoła obejmuje trzyletni kurs przystosowany do potrzeb współczesnego życia, — uczący swych wychowanków konstruktywnego tworzenia i wszelkich z tej dziedziny przedmiotów sztuki. Jedynym w Polsce jest kurs dziecięcy mający na celu rozwijać fantazje dziecięcą a nie zabijać szablonem starych metod pedagogicznych. W tej klasie po-



Art. mal. Alfred Terlecki, dyr. szkoły Sztuk Piękn. w Krakowie

zostającej pod kier. art.-mal. Romana Orszulskiego, dzieci rozwijają swą szlachetną wyobraźnię, bogacąc ją twórczą pracą. Szkoła prof. Terleckiego obejmuje zarówno przedmioty praktyczne, jak akt, portret, pejzaż, martwą naturę, zdobnictwo, rzeźbę i wykłady teoretyczne z historji sztuki prowadzone przez Dr. Karola Estreichera, zdobnictwo przez znakomitego znawcę przedmiotu prof. Karola Homolacsa, grafikę przez prof. Wojnarskiego, anatomję przez Dr. T. Rogalskiego. —

Jednem z głównych zadań szkoły Terleckiego jest utrzymanie ścisłego związku z rzemiosłem artystycznem i wyszkolenie jednostek twórczych, przygotowanych do założenia własnego warsztatu pracy, w dziedzinie artystycznego rzemiosła..

Z dobrodziejstwa szkoły Dyr. Terleckiego korzystają również ludzie starsi, pragnący zdobyć wiadomości i sprawność artystyczną. Dla nich urządzone są kursy wieczorowe rysunku.

O pedagogicznych rezultatach tej poważnej, artystycznej placówki świadczy wysoki poziom prac szkolnych wystawionych z końcem roku szkolnego a o poziomie intelektualnym świadczy fakt, iż laureat tegorocznego konkursu powieściowego „IKC" art. malarz i literat Juljusz Kędziora jest wychowankiem tej szkoły. **mdd.**



Niedziela, 19 lipca.

8: Audycja poranna.
9: Transmisja nabożeństwa z Łodzi.
12.03: „Z różnych czasów — z różnych stron" — koncert południowy.
14.30: „Audycja dla wsi".
15.30: Koncert rozrywkowy.
15.55: Transmisja z Bayreuth.
21.20: „Na wesołej lwowskiej fali".
22.10: Muzyka taneczna.

Poniedziałek, 20 lipca.

6.30: Audycja poranna.
12.03: Muzyka baletowa.
16.00: Koncert popularny.
16.45: „Młodzież na obozie" pogadanka.
17.00: Koncert solistów.
17.50: „Polowanie latem na ptactwo" — pogadanka.
19.00: Audycja żołnierska.
19.30: Koncert rozrywkowy.
20.30: „W stolicy Rumunji" — felieton.
21.00: Tańce polskie na fortepian.
21.30: Ludowa muzyka szkocka — transmisja z Anglji.
22.25: Muzyka taneczna.

Wtorek, 21 lipca.

6.30: Audycja poranna.
12.03: Koncert popularny.
16.00: Potpourri i wiązanki jazzowe.
16.45: „Hetman Chodkiewicz" — odczyt.
17.00: Koncert z Parku Willsona w Poznaniu.
17.50: „Cisy" — pogadanka.
18.05 „Spacer przyrodnika po Warszawie" — pogadanka.
19.00: Recital śpiewaczy Antoniego Kohmana.
19.25: Koncert rozrywkowy w wykonaniu Orkiestry kameralnej i solistów.
20.30: „Dokoła niedyskrecyj au torskich" — szkic literacki.
21.00: „Na chłopskiem weselu" — suita popularna Feliksa Rybickiego.
21.30: Ludwik van Beethoven — koncert skrzypcowy D-Dur Józefa Szigeti'ego.
22.20: Muzyka taneczna.

Środa, 22 lipca.

6.30: Audycja poranna.
12.03: Muzyka lekka z Basenu w Ciechocinku.
15.45: Teatr Wyobraźni: „O tem, jak krawiec Niteczka został królem" — słuchowisko dla dzieci młodszych.
16.15: Utwory fortepianowe Sergjusza Rachmaninowa.
17.00: Muzyka salonowa.
-1.30: „Pieśni wschodnie" w wykonaniu Olgi Łady.
17.50: Anegdoty z życia Alojzego Żółkiewskiego.
19.00: Koncert muzyki ludowej.
20.00 Muzyka salonowa.
20.30: „Wędrówka mikrofonu po prowincji".
21.00 III audycja z cyklu „Utwory Fryderyka Chopina".
21.30: Recital śpiewaczy Mieczysława Salleckiego.
22.15: „Miniatury kwartetowe": „Motywy taneczne".
22.45: Muzyka taneczna.

Czwartek, 23 lipca.

6.30: Audycja poranna.
12.03: Koncert w wykonaniu Zespołu salonowego Niny Mańskiej.
16.00: Koncert popularny z Ciechocinka.
16.45: „Ustrój państw nowoczesnych a zagadnienia obrony narodowej — Rosja Sowiecka" — odczyt.
17.00: Koncert rozrywkowy.
19.00: „Zaloty wiejskie" — premjera słuchowiskowa B. Shawa.
19.40: Recital fortepianowy Marji Dońskiej.
20.10: „Wizja Babuni" — stare melodje.
21.00 „Nasze pieśni".
21.30: Antoni Arensky: Kwintet fortepianowy D-Dur p. 51.
22.15: Muzyka taneczna.

Piątek, 24 lipca.

6.30: Audycja poranna.
12.03: Dwaj skrzypkowie: Mischa Elman i Yehudi Menuhin.
16.00: Kreisler — Burmester — transkrypcje i oryginalne kompozycje.
16.45: „Oddziały lotne P. O. W. — batalion warszawski" — odczyt.
17.00: Polskie miniatury instrumentalnej.
19.00: Wielki koncert muzyki polskiej z dziedzińca na Wawelu w Krakowie.
21.05: Muzyka nastrojowa.
22.25: „Naprzełaj przez apollińskie gaje" — dialog.
23.00: Muzyka taneczna.

Sobota, 25 lipca.

6.30: Audycja poranna.
12.03: Koncert południowy.
14.30: Koncert muzyki lekkiej.
15.45: „Hipek chce mieć order" — wesoła audycja dla dzieci.
16.00: Koncert solistów.
16.45: „Morze jako źródło życia" — pogadanka.
17.00: Koncert z Ogrodu Zoologicznego w Poznaniu.
17.50: „Puszcza górska Czywczyna" — pogadanka.
19.00: „Wieczór starych walców".
20.15: Audycja dla Polaków zagranicą.
21.00: Recital skrzypcowy Bronisława Gimpla.
21.30: „Niezawodny system" — skecz Mikołaja Laszlo i „Niepewność" — monolog.
22.15: „Szlem w piosenkach" — lekka audycja muzyczna.
23.00: Muzyka taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.